BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

POEZYE.

TOM I.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.
1897.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Wielmożnemu Panu

Adamowi Idzikowskiemu

poświęca

Autor.

WSTĘP.

Płakać? — Lecz za czem? Czyli po tej marze,
Co naprzód czoło całuje i wieńczy,
A potem dmucha na wieniec pajęczy
I kładzie całun śmiertelny na twarze?

Płakać? — Lecz za czem? Czy po tym oparze,
Tej odrobinie pstrej, rozwiewnej tęczy,
Co się uśmiecha zalotnie i wdzięczy
I nic nie dając, życie zbłąkać każe?

Czyż człowiek musi gonić za nieschwytnem
I dać się nudzić, osłabiać i nużyć
I ciągle pływać w powietrzu błękitnem?

I dać się woniom zabójczym odurzyć
Na łonie kwiatów leżąc aksamitnem...?
— Czy warto takim ideałom służyć? —

GDZIE SZCZĘŚCIE?

I.

Wstępujesz w życie z otuchą, nadzieją,
Wzrokiem pewności patrzysz w gwarny świat
I pędzisz śmiało nieszczęsną koleją,
Gdzie tyle nieszczęść było — tyle strat.
Czekaj! i ty swej nieunikniesz doli;
I tobie zwiędnie wieniec świeżych róż
I ciebie serce nie długo zaboli
I ciebie zwala szary ulic kurz.
Z początku płakał będziesz i rwał włosy,
Umęczysz piersi od westchnień i łkań,
Gdy będziesz patrzał, jak na zniszczeń stosy
Los i z twej piersi rzuca krwawą dań.
Lecz później łez już zbraknie ci w źrenicy;
Zamkniesz się w bolu, jak ślimak w skorupie,
Pójdziesz, jak inni idą męczennicy,
Aż padniesz niemy przy granicznym słupie.

II.

Westchnienie poco wydzierasz się z łona,
Poco, ach poco?
Patrz! droga twego pochodu czerwona:
Krople krwi na niej migocą!

Jak krzyż samotnie wyciągam ramiona;
Noc. W górze gwiazdy migocą.
Westchnienie, poco wydzierasz się z łona,
Poco, ach poco?

III.

Swobodnie buja wiatr,
Rozpędza białe mgły;
Z oczu mych płyną wciąż
Nieustające łzy.

Rozwiał się rajski sen,
Jak te pierzchliwe mgły,
Rozjęczał w wieczny tren,
Rozpłynął w wieczne łzy.

Ile, ach! ile tam
Tych lekkich, mglistych smug!
Ile, ach! ile w mej
Źrenicy jeszcze strug?

IV.

Poleciał ptak, poleciał jasnopióry
W niezmierną toń błękitną,
Gdzie tysiąc słońc rozzłaca wszerz lazury,
Gdzie kępy chmur, jak białe kwiaty kwitną.

Tak leci myśl wyrwana z ludzkiej duszy
Drożyną jasną, szczytną,
Gdzie tysiąc słońc złocistym pyłem prószy,
W niezmierną toń błękitną.

V.

Zakwitnął biały kwiat,
Zakwitł na łące,
Pieściło jego skroń
Słońce gorące.

Wdychały jego woń
Motylów roje —
Piły zeń blask i czar
Źrenice moje.

Uwiędnął biały kwiat,
Uwiądł na łące;
Inną już pieści skroń
Słońce gorące.

Gdzieindziej krążą już
Motylów roje —
Nad zwiędłym płaczą snem
Źrenice moje.

VI.

Mała, zeschnięta kępka
Z kwiatu została;
Północna przyszła burza,
Resztki rozwiała.

Nie przeszło parę dni:
Zaginął wszelki ślad —
Lecz w mojem sercu wciąż
Umiera blady kwiat.

VII.

O ukochana, o słodka dziewczyno!
Czy widzisz, żeś mi światem
I szczęściem i rozkoszą?
Srebrzyste wody w inne kraje płyną,
Listki, co lśniły i błyszczały latem
Wiatry unoszą....
Srebrna się rosa w perły zmienia białe,
Świat się wciąż nową przyodziewa szatą
Wszystko się zmienia;
Tylko me serce i uczucie stałe,
Choć wziąłem walkę wraz z złudzeń utratą
Z rąk przeznaczenia.
O droga, droga! ja cię kocham przecie,
Acz bez nadziei pociechy
I w smutnej doli,
Toś ty mi jedna kochana na świecie;
I choć nie dla mnie są twoje uśmiechy,
Choć to tak boli,
I choć Cherubów nie nucą mi chóry,
Ni serce w piersiach nie skacze radośnie
W głośnym zachwycie:
To mi mój klasztór kochania ponury,
Który o żadnej nie może śnić wiośnie
Droższy nad życie!

VIII.

Lica twe białe i piersi śnieżne,
Żrenice twoje, jak płomień,
Lecz w głębi piersi pustki bezbrzeżne;
Wszystko tam ginie bez wspomnień.

Ciebie nie splamią myśli lubieżne,
Świat słodkich oszołomień.
Lica twe, piersi i serce śnieżne,
Choć wzrok twój pali, jak płomień.

IX.

Nic mi nie możesz dać już, nic!
Kamienny wyraz twoich lic
I serce w piersiach kamienne.

Od ciebie stroni smutku mgła,
Od ciebie stroni żal i łza
I tchnienie wzruszeń wiosenne.

Chyba cię poto stworzył Bóg,
Byś z serc robiła żywy próg,
Próg pełen skrwawionych znamion.

W tobie ludzkiego niema nic —
Kamienny wyraz twoich lic,
Kamienny uścisk twych ramion...

X.

Jedna myśl leci w górne bezbrzeża,
Których ni orli wzrok nie przemierza;
Druga się czołga po ziemi.

Jednej ni słońca wstrzymać nie mogą,
Druga wciąż szuka gruntu pod nogą
Oczyma wygasłemi.

Dla jednej niema zaspokojenia,
Jak skrzydła w dal ją niosą pragnienia,
Tęsknoty łzę ma u powiek.

Druga za ziemią nie widzi świata,
Oślizgłą piersią kwiaty rozgniata —
Te myśli razem — to człowiek...

XI.

Po niebie płyną gromady chmur,
Jak czarne dziwne okręty,
A wichry wiodą ze sobą spór
Jękliwy i zawzięty.

Nagle gwiazd złoty rozbłyszczał sznur
Przez skotłowane odmęty...
W lazurach toną gromady chmur,
Jak potrzaskane okręty.

XII.

Po polach błądzi wiatr
I jękiem ptactwo przeraża,
Skrzypi i skrzypi wciąż
Spruchniała furta cmentarza.

Żaden z tych, co tam spią
Na hałas dziki niezważa.
Spią dalej; świszczy wiatr
I skrzypi furta cmentarza.

XIII.

Tyle gwiazd! Tyle gwiazd!
A księżyc taki blady,
Na licu łez ma ślady:
Ciemne, posępne plamy.
Tyle gwiazd! Tyle gwiazd!
Księżyc wciąż bardziej smutny,
Jak nocy duch pokutny
Przechodzi złote bramy.
Spokój pieści powietrze —
Blade i coraz bledsze
Oblicze księżycowe.
Dalej i coraz dalej
Po lazurowej fali
Posuwa smutną głowę.
Dokoła światłość płonie;
Dokoła w złotem gronie
Pląsają gwiazdy tłumne.
Tyle gwiazd! Tyle gwiazd!
Księżyc, jak upiór kroczy,
Aż mgłą mu zaszły oczy
I w chmurę wpadł jak w trumnę.

XIV.

Na dworze wiater wieje,
Na dworze zawierucha;
Świst, jęk, trzeszczenie, wycie
Wpadają nam do ucha.
Dobrze nam, dobrze razem
Nocą tak słuchać burzy,
Kiedy z serc naszych żadne
Lamentom jej nie wtórzy.
Słuchaj, o słuchaj droga
Tych zgrzytów i hałasów —
Zda się, że wicher wyrwie
Skrzypiące drzwi z zawiasów,
Ty drżysz? — O nie drżyj słodka!
Ja burzy się nie boję —
Przymknij te sarnie oczy
I daj mi usta twoje.
Tak dziwnie patrzysz na mnie,
Łez fala z ócz twych bucha —
Na dworze jęczy wicher
I wyje zawierucha...

XV.

Może to było w śnie.
Pamiętam raz z wieczoru
Całować dałaś się
I pieścić bez oporu.

Teraz odpychasz mnie:
Zuchwałą zwiesz chęć moją;
Jakie to czasem w śnie
Dziwne się rzeczy roją...!

XVI.

Noc! Szumią senne drzewa
I ciepła rosa pada;
Z góry spogląda chmurnie
Księżyca postać blada.

Dziwnie mi jakoś straszno —
Koło mnie cienie chodzą,
Z wieży kościelnej szare
Puszczyki w głos zawodzą.

Ze wszystkich stron mnie chwyta
Wychudłych mar gromada —
Noc! Milczą spiące drzewa
I ciepła rosa pada...

XVII.

Deszcz padał długo. Niebo było szare,
Jak w ołowiane, ciężkie skute blachy.
Ptactwo gdzieś znikło; li wron czarnych parę
Obsiadło, kuląc się, przemokłe dachy.

Z rynien ściekały strugi żółte, brudne
I po chodnikach tworzyły kałuże,
Ulice były ciche i bezludne,
A takie szare, jak to niebo w górze.

Stałem przy oknie. Wielki pająk w szparze
Poruszał zwolna swe ramiona chude —
Podniosłem oczy: na mglistym obszarze
Ujrzałem wstrętną, pełzającą Nudę.

XVIII.

Skłoń głowę na piersi i zaśnij...
I zaśnij na długo, na długo;
W śnie może myśl ci się rozjaśni,
Łzy może przestaną ciec strugą.

Nadziei się czepiasz, jak deski,
Lecz czy się utrzymasz nad rzeką?
Co znaczą na czole te kreski?
Co łzy te, co z oczu ci cieką?

Skłoń głowę na piersi i zaśnij,
Lecz nie snem, co życie pamięta —
Skłoń głowę na piersi i zgaśnij,
Jak świeca łagodnie zdmuchnięta.

XIX.

Chodź do mnie! Ręce zarzuć mi na szyję
I patrz mi długo i głęboko w oczy,
Aż się źrenica mętną mgłą zakryje,
Aż się z za mgły tej żal łzą ciężką stoczy.

Wtedy mi głowę połóż na ramieniu;
Płacz razem ze mną cicho, bezboleśnie —
Płacz, jak ci ludzie, którzy w rozmodleniu
Płaczą, wsłuchani w niewidome pieśnie.

A potem głowę mą złóż na swem łonie...
Nachyl się ku mnie zełzawiona cała,
Oprzyj skroń ciepłą o me puste skronie
Cicha jak anioł i jak anioł biała.

I z ust mych zcałuj gorycz i zgrzybiałość
I z duszy życia zmęczonego szarość;
I tę ostatnią jeszcze żywą żałość,
Żem o pół wieku przyspieszył swą starość.

XX.

Tak lubię myśleć o tej wielkiej chwili,
Kiedy śmierć blada nademną się schyli
I wpoi we mnie oczy nieczłowiecze
I skroń mą siną bladością powlecze.

Tak oczekuję tej wielkiej godziny,
Gdy ziębnąć poczną rąk i nóg kończyny,
Kiedy źrenice poczną chwiać się, mętnieć,
A zmysły zwolna ostygać i trętwieć.

Kiedy się oddech rwał będzie, a serce
Dogasać szybko iskrę po iskierce,
Kiedy krew gęsta poosłabia tętna
I ciało w ciemne pomaluje piętna.

— A gdy tak myślę, zlatuje śmierć blada
I długie skrzydła nademną rozkłada
I wpija we mnie oczy bezźreniczne,
Oczy, jak głębia ziemi magnetyczne...

XXI.

Często znów myślę, co tam będzie dalej,
Skoro się życie, jak stary dom zwali;
Skoro się człowiek raz ciała pozbędzie,
Co dalej będzie?

Czyli to nie jest złudą tylko wielką
Mienić uparcie śmierć pocieszycielką —
I czekać końca nędznego istnienia,
Jak wyzwolenia?

Jeśli tam także wiedzieć i czuć trzeba
Przeklęte niechaj będą takie nieba!
Gdzie trzeba dalej przędzę bytu snuć,
Gdzie trzeba czuć! —

XXII.

Taka mnie straszna chwyta czasem żałość
Na rzeczy ziemskich marność i nietrwałość,
Taki wir pusty pod czaszką się kręci
Takbym chciał płakać — płakać bez pamięci...

I chciałbym uciec od myśli od siebie
Gdzieś, gdzie pragnienie w kałużach nie grzebie,
Gdzieś w wielką pustkę bez marzeń i chęci
Tam siąść i płakać — płakać bez pamięci!

I wszystkie z siebie wypłakać katusze,
Wypłakać serce i rozum i duszę,
Wypłakać wszystko, co ludzkiego we mnie,
... Aż próżne oko kamiennym snem zdrzemnie.

XXIII.

Widziałem go, jak szalał. Wśród szaleństwa
Rozpustnej młodzi on był przewodnikiem;
Orgia wyryła piętno bezeceństwa
Na jego licu pożółkłem i dzikiem.

Tam, gdzie się wino lało strumieniami,
Tam, gdzie rozpusta przechodziła w zbrodnię,
Gdzie człowiek resztki człowieczeństwa plami —
Tam jemu było dobrze i swobodnie.

Aż raz spojrzałem mu głęboko w oczy:
Dwa błędne ognie na shańbionem polu:
Zimno mnie przeszło... W tej mętnej przeźroczy
Na dnie był wyraz. — Ten człek szalał z bolu!

XXIV.

Mówiły do mnie sny przeróżne
Głosem nie z tego świata,
Że złem najgorszem serce próżne,
Gdzie łza jak w bezdeń wlata.

Jakim ja szczęśliw, żem uniknął
Najgorszej z wszystkich doli:
Przed chwilą właśniem z bolu syknął
Serce mnie dotąd boli — —

XXV.

Czuć ból czy rozkosz... precz, precz! z wszelkiem czuciem;
Wszak rozkosz tylko bolu jest rodzajem:
Li ocukrzonem sił i myśli truciem,
Li nerwów złudą; zfałszowanym rajem.

XXVI.

Historya życia, nieprawe zjawisko
Jaskrawo nagie, czy pod szatą mniszą:
To jedno czarne, wstrętne trzęsawisko,
Nad którem błędne ognie się kołyszą.

XXVII.

Gdy między ludzi wejdziesz
 W płaza się zamień,
Lub wszystko w sobie znieczul;
Stwardnij, jak kamień!

XXVIII.

Mówiłem raz słowikowi:
 Chciałbym tak śpiewać, jak ty.
A on mi na to odpowie:
— Śpiewaj przez łzy...

XXIX.

W blaskach nadludzkiej światłości
Spłynęła z niebios ku mnie
Jasna bogini piękności
Lekko, a dumnie.
Wstęgą tęczowych tajemnic
Wiążąc mą duszę z bezbrzeżem
Rzekła mi: — Z ciasnych wyjdź ciemnic,
Bądź mym rycerzem! —

XXX.

Więc idę za nią, za tą jasną
Po drodze długiej, po drodze trudnej;
Często me gwiazdy bledną, gasną
I świat ogarnia mnie ciemny, brudny —

Lecz, gdy już myślę, że to mara:
Widzę Jej oczy, jak słońca duże —
I znów wstępuje we mnie wiara
I znowu jasno nademną w górze....

XXXI.

Pójdziesz przez łzy i własną krew
Wszelakiej sile ludzkiej wbrew
W tęczowy świat!
Choćbyś we złote drzwi miał wnijść
Podarty, jak ten wiotki liść,
Który postrzępił grad.
Pójdziesz, bo musisz, party w dal
Muzyką eterowych fal,
Muzyką duszy twej...
Choćbyś po drodze stokroć mdlał,
Choćbyś, jak dziecko szlochać miał
Na trud i stromość jej!
Umęczysz w sobie każden dech,
Rany ci wyżre ludzki śmiech
W mózgu i sercu twem;
Nadludzki w sobie odnajdź hart,
Pluń w samo serce ludzkich wzgard!
I idź ostatnim tchem!
Idź, bo to hańba w drodze paść,
Zmęczoną głowę w prochu kłaść,
Jęcząc: nie mogę już — —
Ostatnią nerwu wypręż nić!

Po własnym trupie dalej idź!
Przez krwią splamiony kurz.
Chwała ci chwała, sława, cześć!
Gdyś się nad ból swój zdołał wznieść
Nad poziom zwykłych dusz — — —
Z pogardą orlą spojrzysz w dół,
Gdzie w niedołęztwa wbite muł
Koła człowieczych prac.
Gdzie w walce o byt siły schną,
Gdzie lot piorunu kłamać chcą
Sztuczne światełka rac —
Wszelakiej sile ludzkiej wbrew
Pójdziesz przez łzy i własną krew,
Przez ból serdecznych strat;
Rozpacz i błękit w sercu twem,
Wejdziesz z zerwanym w piersi tchem
W tęczowy świat!

XXXII.

TO NIC.

Kiedy grom pierwszy w ciebie uderzy
W błyskawicowych płomieniu świéc:
Pomnij, że jeszcze przed tobą leży
Szczęście — i szepnij w duszy: to nic!

A kiedy życie twoje roztrzaska
I łzę ostatnią wypali z lic:
Pomnij, że koniec, to także łaska
I ginąc szepnij: to nic, to nic....

XXXIII.

WSPOMNIENIE.

Gdy się widnokrąg życia nachyla .
I siły chwyta senne znużenie,
Ostatki życia jeszcze umila —
Wspomnienie.

Lecz, gdy się wtedy oczom nasuwa,
Jak kwiat stoczony, własne istnienie,
Ostatki życia jeszcze zatruwa —
Wspomnienie.

I tak na bytu ziemskiego kresie
Duch w przeszłość zbiegłą cofa spojrzenie
I wtedy rozkosz i ból mu niesie —
Wspomnienie.

XXXIV.

TWORZENIE A CZUCIE.

Nie wszystkim dano latać w niebiosy
I podchwytywać tajemnic głosy
I myśl rozszerzać i nią uderzać
W słoneczny świat.

Nie wszyscy mogą spoglądać w słońce,
Bo to za jasne i za gorące
Przez drogę złotą li orłów lotom
Wskazuje ślad.

Nie wszystkim dano, by mogli sami
Ogarnąć wielkość i być twórcami
I z ludzkiej nędzy, tej szarej przędzy
Nić złotą snuć.

Lecz wszyscy mają w sobie zwierciadło,
Które odbija, co na nie padło — —
Nie mogąc tworzyć, mogą hołd złożyć
I wielkość czuć.

XXXV.

PYTANIE.

Gdy klejnot szczęścia trzymany raz w ręku,
Z niej się wysunie
I pałac marzeń wśród uczuć rozdźwięku
W twem sercu runie —

Czy będziesz gonić za nowym klejnotem,
I życie ważyć?
Czy będziesz mogła — pytam — jeszcze potem
O szczęściu marzyć?..

XXXVI.

I W OBCYM KRAJU...

I w obcym kraju u innych ludzi
Próżno byś z serca ból wyrwać chciał;
Uśnie na chwilę znów się obudzi,
Czy pośród kwiatów, czy pośród skał —

Mogą inaczej zaszemrać wody,
Może inaczej zaszeptać bór — —
Czy wśród pogody, czy niepogody
Ty już nie ujrzysz nic oprócz chmur.

Bo gdy raz dola uciśnie sroga,
Nie znajdziesz nigdzie zbawienia już:
Ani u ludzi, ani u Boga
W błogosławionych orszaku dusz

I smutnie patrzą na cię anieli,
Jaśni anieli niebieskich sal,
Ni z nich się żaden zejść nie ośmieli,
By ból twój stłumić, ukoić żal —

XXXVII.

NAMIĘTNOŚĆ.

W człowieczych uczuć gamie jest jedno uczucie,
Przed którem wszystkie inne bledną i truchleją,
Skoro płomień posępny zagra w jego nucie
I wszystkie nitki nerwów rozpali koleją.
W sokach krwi się wyradza siła nieprzeparta
Żadną mocą ni żadnym wysiłkiem obrony,
U jej stóp pada wola pokorna, rozdarta
I obowiązek milknie martwy, zbezwładniony.

Uspiona drzemie w ciele na pozór spokojna;
Czasem tylko człowiekiem wstrząśnie dreszcz oddechu,
Jak dotknięcie pochodni; a gdy wstanie zbrojna
Całym zastępem ogni i pragnień i grzechu
Wtedy cnota ucieka taka drżąca, blada,
Jak ten dzień, gdy purpura pożarów nań pada....

A potrzeba jednego palącego błysku,
Jednej iskry do prochów w ciele zgromadzonych,
Aby błysły i buchły w straszliwem ognisku
Płomieni im ciemniejszych tem bardziej szalonych!
Tu ciało rozdzielone pragnie zespolenia,
Krew krwi żąda, zmysł zmysłu, tym głosem płomienia,

Co przygłusza rozsądek i myśl każdą płoszy
Prócz jednej: prócz łaknienia zwierzęcej rozkoszy....
I z taką gwałtownością żarłoczność zwierzęcia
Głodna, porywa zdobycz w śmiertelne objęcia,
Z jaką szaleństwo żądzy ogarnia człowieka.

A gdy się wzrok czerwoną siatką krwi powleka
I gdy ślina wysycha na wargach spękanych
I gdy się wszystkie nerwy wyprężą, jak sznury,
A w mózgu szumi chaos myśli rozpętanych:
Cały ten stos płonący, ten ogień ponury
Rozpada się... wygasa — sił zabrakło w ciele
Pokarmu w krwi i wszystko martwieje w popiele.

Wtedy, gdy upojenie miało dojść do szczytu,
Kiedy się raj miał jakiś wyłonić z płomienia;
Ciało zwalczone samem pragnieniem zachwytu,
Upada, i nie czuje nic — oprócz znużenia....

XXXVIII.

W NOCY.

Wysoko na nieba błękitnym namiocie
Przechadza się księżyc na straży,
I patrzy, jak płyną i płyną gwiazd krocie,
Jak w nocy objęciach świat marzy.

I widzi, jak życie wciąż pędem ucieka
Nie szuka spoczynku ni łoża;
Jak burzą spieniona potężnych fal rzeka
Spragniona wolności i — morza...

Więc toczy wciąż w nowych, ogromnych strumieniach
Huczące, spienione swe wody:
Zamula łożysko, rwie szpary w kamieniach,
W wieczystej tęsknocie swobody.

Tak płynie do morza wieczności tęsknota
I życia tak strumień rwie rączy,
Czy błyszczy blask dzienny, czy gwiazda migota;
— Aż z życiem tęsknota się skończy.

XXXIX.

O PÓŁNOCY...

O północy przybliża się do mnie
Cały zastęp duchów cichej nocy
I poczyna swe tańce koło mnie —
O północy — o cichej północy...

O północy spią już prawie wszędzie,
A ja czuwam trwożny i sierocy;
Myśl ma leci gdzieś w dal w hyżym pędzie —
O północy, o smutnej północy...

O północy ból się gdzieś usuwa,
Człek przed dolą w snie szuka pomocy;
Lecz w mem sercu ból nie spi, ból czuwa —
O północy, posępnej północy...

O północy pojawia się trwoga;
I tak leżę w drżeniu i niemocy,
Jak z dusz jedna przeklętych od Boga —
O północy, o strasznej północy...

— O północy — lecz to dawno było...
Schodził ku mnie sen przedziwnej mocy:
Serce me przy drugiem sercu biło —
O północy, o szczęsnej północy...

XL.

GDZIE SZCZĘŚCIE?

To jedno pytanie przyspiesza serc tętno,
Popycha w gonitwę zażartą, namiętną
Po drogach bez liku, wśród wrzawy i krzyku,
Wśród westchnień i jęków i męki...

To jedno pytanie rozpala krew żarem
I leci, jak płomień nad świata obszarem
I pali i piecze rozumy człowiecze,
Lub łamie na ciałach rózg pęki.

To jedno pytanie wciąż ludzkość wyzywa,
Podnosi nadzieją, rozpaczą przeszywa;
Rozjaśnia, by chmurzyć — buduje, by burzyć,
W chwil nektar goryczy jad miesza.

A gdy już tchu w piersiach, drgań w sercu nie staje
Człek sobie i wtedy pytanie zadaje —
Pierś śmiercią przebita ostatni raz pyta:
— Gdzie szczęście? — gdzie spokój i cisza? —

SAMOTNOŚC.

MYŚLI.

O myśli samotna! czyż tobie nie lepiej
W spokoju, w spoczynku i ciszy?
Gdy niebo bez żarów nad tobą się sklepi,
Gdy nikt cię nie czuje, nie słyszy.

Gdy płyniesz spokojnie, bez trwogi rozbicia
Po równej i gładkiej wciąż fali
I echo zaledwie dochodzi cię z życia,
Co ogniem szaleństwa się pali.

Nadzieją się nie karm, że Feniks wyleci
Z popiołu po takich płomieniach,
Bo ogień ten pali, lecz nigdy nie świeci,
Bo cieniem największym jest w cieniach.

O myśli samotna! w zaciszne płyń zdroje
Wód, których mózg ludzki nie mąci,
Gdzie mogą bezpiecznie marzenia śnić twoje,
Bez trwogi, że świat je w proch strąci.

Im dalej od świata, im dalej od ludzi
Oddychać tem lepiej, swobodniej —

Tam możesz zasypiać bez lęku, że zbudzi
Cię echo szaleństwa lub zbrodni.

Czy widzisz? Tam tłumy mizerne, oślepłe,
Pchające się naprzód — dla chleba;
Tam czernią na skroniach krwi krople zaskrzepłe,
W wysiłkach bez Boga i nieba!

I to ma być życie w tem wielkiem skazaniu?
I to ma świat leżeć w tej nędzy?
I obraz człowieczy w plugawem pełzaniu
Za bóstwem wszechwładnem pieniędzy!? —

O myśli uciekaj! dość tobie widoku,
Dość tobie tej ludzkiej Gehenny!
Dość tobie kąpieli w tym czarnym potoku,
Co taki straszliwie bezdenny!

O myśli samotna, ty chroń się daleko,
Nim sama się sobie obrzydzisz —
Nim spojrzą na ciebie i tam cię zawleką,
Gdzie własny początek wyszydzisz.

Nie wolno tu wyżej spoglądać bezkarnie,
Tu krzyże strącają z kościołów —
Tu wszystko, co kwitnie usycha wnet marnie
I z własnych się śmieje popiołów.

SAMOTNOŚĆ.

I.

Gwary zamilkły, ustał ruch wrzawliwy
I bardzo cicho było dookoła —
I tylko puszczyk z wież kościelnych woła
I zcicha szepta wiaterek płochliwy.

W powietrzu czystem ciche słychać śpiewy —
Szmer skrzydeł może mknącego anioła;
I czuć, jak pachną coraz mocniej zioła,
Leżącej blisko, rozespanej niwy.

Cisza i spokój. Duchu czerp otuchę!
Zanurz się cały w snów rozkołysanie
I rosą napój nerwy żarem suche —

Może ustąpi z ciebie obłąkanie,
Może gorączki stłumisz zawieruchę
I jutro święcić będziesz zmartwychwstanie.

II.

Niebo się stało takie przeźroczyste,
Że mi błękitnym zdało się kryształem;
Po niem chodziły, runem świecąc białem,
Chmurki maleńkie, a dziwnie śnieżyste.

Jak główki gwoździ świetlne i złociste
Rozsiane tłumnie po sklepieniu całem,
Błyszczały gwiazdy — i raz je widziałem
Matowo złote, to jak żar ogniste.

Nagle od stropu jedna oderwana,
Leciała w dół, sznur sobą czyniąc złoty;
Szlakiem tym w górę, płaszczem mgieł odziana,

Pomknęła dusza — część ludzkiej istoty,
Co opuszczając doczesną nietrwałość
W jasności wielkiej szła w wieczną wspaniałość.

III.

Więc uciszyły się szmery wietrzyka
I puszczyk przestał ponurej piosenki;
A z nieba zdrojem polały się dźwięki:
To Cherubinów rozbrzmiała muzyka.

Każdy powietrza pyłek dreszcz przenika,
Chylą się wdzięcznie polnych roślin pęki:
Wszystko ogarnia czar mocny a miękki,
Czar, gdy się niebo słodyczy odmyka.

I zadumały się bór i polana
I zasłuchały się wody ruczaju;
I łąka falą zapachu wezbrana

I krzywe wierzby rosnące na skraju —
A ona dusza jasna, wniebobrana
Szepnęła światu: — ja idę do raju...

4

IV.

Jeszcze silniejszy dreszcz wstrząsnął trawami,
Jeszcze silniejsza woń w górę wionęła;
Brzoza srebrzystą koronę ugięła
I drgała lekko, rosy płacząc łzami.

Gwiazdy silnymi rozbłysły ogniami
I jakaś jasność dziwna iść poczęła,
W stronę, zkąd gwiazda spadając zginęła,
Drogę swą znacząc złotemi iskrami.

Nastała chwila modlitwy w naturze:
Trząsł swoją głową zwichrzoną dąb stary,
Jaskry modliły się i polne róże,

Rozłogi, stoki gór, głębokie jary
I rzędy topól stojących jak stróże —
Z wód, jak z kadzielnic wzniosły się opary...

V.

I zakwiliły w leszczynie słowiki,
Z początku jeden, dwa... później chór cały,
Aż od siły tych dźwięków listki drżały,
Jakby je zlekka musnęły wietrzyki.

Słuchały pieśni tej strojne storczyki,
Trawy do kwiatów tuląc się, wzdychały,
Szerokiem echem rozniosły ją skały,
Głosem ogromnym wtórował bór dziki.

Ożyła mroczna głąb. Leśne otchłanie
Chórami głosy słały ku dolinie,
A ztąd ku niwom po zbożowym łanie...

Lecz najpiękniejszym był ów śpiew w leszczynie,
I z pośród gruchań, kwileń, ptasich krzyków,
Coraz namiętniej brzmiała pieśń słowików.

VI.

Takie godziny za lata się liczą,
Starczą na długie, ciężkie dni boleści;
Takie wrażenie tak serce upieści,
Tak uspi duszę bezmierną słodyczą,

Że kiedy człowiek zatruty goryczą
Łez już w wezbranej piersi nie pomieści,
Znów mu się brzoza tęsknie rozszeleści
I znów leszczyna pieśń zagra słowiczą.

I dąb się starą głową mu pokłoni,
Wiater przyniesie woń pola i błoni —
A może jaką czarodziejską chwilą

Gwiazdy z pociechą ku niemu się schylą,
Szeptając: — czekaj! wszak jedna z nas wkrótce
Spłynie po ciebie na złocistej łódce...

JESIENIĄ.

Szybki, jak myśl rozpaczy chyża
  Czasu bieg —
Oto znów zima, znów się zbliża
Mróz i śnieg.

Chłodne wieczory, zimne ranki
Budzą dreszcz;
Zieleni szaty, kwiatów wianki
Niszczy deszcz.

Jak wielki całun lata górą
Szara mgła,
Ziemia odbija tak ponuro
Od jej tła.

Czasem wiatr mroźny z jękiem wstanie
Z zimnych łóż
I słychać jakby wielkie łkanie
Zwiędłych róż.

I słychać, jakby płacz serdeczny,
Skarg ich głos,
Że taki zmienny, niestateczny
Piękna los.

Że tyle cudów, tyle zgody
Blasków, lśnień,
Potrafi zniszczyć niepogody
Jeden dzień.

Niebo spowite w mokre chmury,
Ziemia w mgłę,
A słońce blado patrzy z góry
Dziwnie mdłe — — —

Zwycięzko każdy dzień chmurniejszy
Walczy z niem;
A człowiek smutny i smutniejszy
Z każdym dniem...

JESIENNA FANTAZYA.

Bledną i żółkną zielone liście,
Szaty ich plami rdza niby krew —
Nadleciał wicher i w dzikim świście
Targa je, zrzuca z przelękłych drzew.

Masami leżą na chłodnej ziemi,
Lub na wilgotnym spłowiałym mchu,
A błędny smutek jęczy nad niemi:
Nad krótkiem szczęściem krótkiego snu.

— O smutne liście! was poorały
Te same zmarszczki, co ludzką skroń,
Te same czucia pierś wam stargały,
Te same łzy z was spłukały woń.

Wyście wdychały każde westchnienie,
Które z pod serca wyszarpał ból,
Każdą łzę piły, każde pragnienie
Nerwy wam gryzło, jak chciwy mól.

Teraz leżycie: nadszedł czas gnicia,
Czas słot jesiennych, jesiennych burz —
Teraz leżycie obrazy życia,
Obrazy ludzkich mózgów i dusz.

Ulewa wbija was w ziemię błotną,
Miesza was z błotem i zmienia w brud —
Płaczcie! bo radość jest niepowrotną...
Jęczcie! was żaden nie wskrzesi cud.

. . . .

Lecz oto wicher nadleciał nowy
I resztki liści pozdzierał z drzew,
Resztki barw zmienił w strój żółto-płowy,
Ostatnią w nerwach zamroził krew.

Potem je chwyta, niesie daleko,
Gdzieś poza obręb życia i strat,
Aż do tych duchów, które opieką
Osłaniać mają ludzi i świat.

Tym się, jak sługa z pokorą kłania,
A potem kładzie swój smutny łup,
Wśród posępnego oczekiwania
Na złotej ziemi, u bożych stóp — —

Odlata wicher, a duchy w trosce
Listek po listku biorą do rąk
I odczytują zgłoskę po zgłosce:
Dzieje krwi, tęsknot, zbrodni i mąk.

Potem szeptają słowa zaklęte
I z listków kapie krew, płyną łzy,
Wstają rozpacze, serca przecięte,
Tęsknoty, klątwy, zmarniałe sny.

Wychodzą smutki z zbielałą twarzą,
Żale bez skargi i jęków rój —
Żądze, jak ogień krwawo się żarzą
Z nędz łachmanami opada strój.

Wnet jękła wielka, złocista sala:
— Ulgi! ach, ulgi! — aż duchom dech
Wstrzymała w piersiach tych jęków fala,
Aż wstrzęsła słońcem siła tych ech!

A listków próżne, wyschnięte płatki,
Słysząc ten uczuć rozdartych szloch
Drgnęły — i spójni tracąc ostatki,
Przechodzą w szary, beznerwny proch...

— Ulgi! ach, ulgi! Duchy obrońce!
Każdą jesienią niesie wam wiatr,
Każdą jesienią drży wasze słońce
I wchodzą Nędze do waszych szatr.

Czemu tym krwawym krwi nie wstrzymacie?
Czemu tym łzawym piekących strug?
Czemu rozpacze w świat znów puszczacie,
Pod ludzkie czaszki, za serca próg?!

. . . .

Znów idzie jesień; tak straszno w lesie...
Skarżą się liście, wicher je rwie,
W skrwawione pęki zbija i niesie,
Gdzie wzrok nie sięga, myśl ledwo mknie.

Znów ziemi duchom do stóp je kładzie;
Znów z żyłek krwistych i plamek pstrych,
Wychodzi jęcząc w dzikim nieładzie
Wszelkie cierpienie i wszelki grzech.

— Duchy obrońce! Te chciwe mary
Tak długo będą pień ziemski gryść,
Aż świat się w popiół rozsypie szary,
Jak ów zeschnięty, jesienny liść. —

KRZYŻ W LESIE.

Na leśnej polance krzyż prosty stał,
A na nim w męczarni rozpięty,
W ostatniej, śmiertelnej modlitwie trwał
Bóg w ciele dziewiczem poczęty.

Dokoła wciąż szumiał i huczał bór;
Wiatr chodził i trącał konary,
To gonił niesforne gromady chmur,
To wciskał się świszcząc w drzew szpary.

Na leśnej polance zaś spokój był —
Tam konał Bóg-Człowiek w swej męce;
A w skronie głęboko cierń mu się wbił,
Gwóźdź nogi rozdzierał i ręce.

Dokoła wznosiły się sosen pnie,
Ostrężyn krzewiły się krzaki;
Zielony mech czule do ziemi lgnie,
Dumają paproci orszaki.

Przy krzyżu zielonych nie było traw,
Lecz ziemia brunatna, spalona;
Przy krzyżu nie słychać ptaszęcych wrzaw,
Tu wiecznie i wiecznie Bóg kona...

Gdy czasem w swej drodze zabłądził tu ptak,
Swobody krzyk rwał mu się w krtani,
Drżąc z góry spoglądał na Bożych mąk znak,
Co świat miał wydobyć z otchłani.

Gdy potem zaśpiewał rzewniejszy był śpiew,
Nieśmielszą melodya wesoła,
Jakby ją owionął szum smutnych drzew:
Szum sosen, co stały dokoła.

Tych sosen, co tyle już tyle lat
Patrzały, jak światów pan kona,
Jakby mu dopiero co rozpiął kat
Na krzyżu skrwawione ramiona.

Widziały mgłą śmierci zamglony wzrok
I ręce ku górze wzniesione
I włócznią żołnierza otwarty bok,
Cierniową na głowie koronę.

Z pod cierni ostygłe już krople krwi
Czerniały na licach, jak plamy;
Ostatni kurcz bolu pomarszczył brwi,
Głęboko zapadły ócz jamy...

Widziały to sosny; widziały, jak krew
Kroplami spadała na ziemię,
Jak więdła roślinność, bo krwawy ten siew
Przepalał i niszczył traw plemię.

Więc bolem nasiąkał ich listków szum
I smutek je schylał ku ziemi;
Na długo zapomniał wesołych dum
Ptak, który przeleciał nad niemi.

. . . .

Samotnie tu, cicho, choć w lesie gwar;
Bóg wisi na krzyżu i kona:
Wargi mu i język pokrajał żar,
Do góry wzniósł krwawe ramiona.

Noc przyszła i cieniem czarnych rąk
Objęła drzew tłumy zaspane.
Na niebie księżyca zajaśniał krąg
I spojrzał na leśną polanę.

Przy świetle miesięcznem, srebrzysto-mdłem
Krzyż zadrgał, jak postać żyjąca — — — —
Pierś Boga się wznosi spieczonym tchem,
Modlitwa z ust płynie gorąca:

— O przebacz im Ojcze, dla moich mąk,
Czy mało, czy wiele przewinią
I choćby grzeszyli przez życia ciąg,
Bo oni nie wiedzą, co czynią! —

Wciąż księżyc spogląda z błękitnych pól...
Tłum cieniów skaczących się zbliża:
— No, ratuj się — szydzą — jeżeliś król,
Jeżeliś Syn Boży zstąp z krzyża! —

. . . . Tak jasno w obrębie drzew ciemnych ścian,
Lśni księżyc nad męki świątynią — —
Krew pada i pada z Chrystusa ran,
Z ust płynie: — nie wiedzą, co czynią.... —

POETA.

Czyż już nigdy nie zobaczę tęczy?
Czy już nie ma dla mnie zmiłowania?
Czy już życie w mej duszy zamęczy
Wszystkie cele i wszystkie zadania?
O odpowiedz mi losie mój głuchy —
Popchnij w otchłań, lub dodaj otuchy!

Umęczony jest każdy dech we mnie,
Osłabiona każda serca nitka;
Samo słońce chowa dla mnie ciemnie,
Sama głębia wydaje się płytka.
Nie wiem przed czem, nie wiem na czem stoję,
Tam się rany, tu przepaści boję.

Gwiazdy nocy! wy świecicie jasno
I bez troski, bo czucia nie macie:
Dać wam czucie... wasze ognie zgasną
I będziecie, jak ciemne postacie —
I z serc waszych wyrosną zielsk kępy
I będziecie czuć wiecznie ból tępy.

Ten ból tępy, ten nieokreślony,
Jakby wewnątrz coś było złamane;
Czasem cichy, a czasem szalony,
Niby wszystkie furie rozpętane —
Wtedy serce zazdrościć jest chętne
Głazom mogił, że tak obojętne...

I zazdrościć trupom, co tam leżą,
Że wrażeniom żadnym niedostępne,
Że choć gromy z chmur w alarm uderzą
Jednakowo ciche i posępne —
I zazdrościć myśli, co się przerwie
Osłupiałość czyniąc w duszy nerwie.

Więc w poezyi płaszcz się chronię złoty,
Aby ukryć pokrzywione członki.
Aby wstrzymać tę strugę tęsknoty,
Co rozerwać chce serdeczne błonki;
Co się wylać chce, jak krew zczerwienieć
I jak koral stwardnieć i skamienieć.

Lecz płaszcz złoty z bark się czasem zsuwa
I ja stoję obnażony wstrętny;
Jakaś siła wargi moje skuwa,
Krzyk mój kona, krzyk bolu namiętny!
I tak stoję dziki a bezsilny
Jak spróchniały wpół szkielet mogilny.

Gdybym nie czuł! Lecz ja czuję wszystko;
Każdy zmysł się, jak struna wypręża,

Czuję mękę, czuję śmierć tak blisko,
Coraz bliżej jej dech, jak syk węża —
Tracę zmysły, w głowie mi kotłuje —
Wtem śmierć znika i znów mękę czuję.

Czasem znowu płaszcz ów bogów złoty
Tak lgnie do mnie, jak istota żywa
I przyrasta do mojej istoty,
W głąb się wdziera i duszę rozrywa
I znak życia wszelki ze mnie płoszy,
Oprócz bolu nadludzkiej rozkoszy.

Zdaje mi się, że nie zniosę dłużej
Tego wszystkich strun rozkołysania,
Co upaja, lecz śmiertelnie nuży,
Wszystkie raje i czyśce odsłania
I w tchu jednym pozwala mi wchłonąć
Wszystkie szczęścia i nędz nieskończoność.

Toż gdy potem na życie popatrzę,
Cóż, że z piersi rwie się nakształt łkania:
Czy już nigdy tęczy nie zobaczę?
Czy już niema dla mnie zmiłowania? —
Gdy płaszcz złoty łachmanem z bark zwisnął
I ton pieśni, jak tanie szkło prysnął.

Nie zazdrośćcie poetom wy ludzie!
Co wam cudy na ziemię ściągają,
Bo ci w krwawszym, niż wy żyją trudzie,
Bo ci wiecznie swoją duszę krają —

Choć wam perły rzucają rozrzutni,
Sami biedni i po za grób smutni.

I nie śmiejcie się z smutku, co szlocha,
Tem szlochaniem, co jak orkan niszczy,
Gdy go zdradzi, co sercem ukocha,
Gdy w nim tyle pustki, tyle zgliszczy:
Z każdym śpiewem ma w samotnej duszy
Coraz więcej grobów, więcej głuszy...

ŁABĘDZI ŚPIEW.

Jak długo pieśni, tak długo życia,
Potem niech krzepnie krew!
Mijają cudy, mijają śnicia
Gdy minął śpiew.

Trzeba wlec ciężką taczkę doczesną
I gubić pot i łzy,
Stokroć tę podróż czynić bolesną
Przez żal i mgły.

Stokroć wspominać, brzęczeć łańcuchem,
A nie módz zerwać go
I być zwierzęciem zamiast być duchem
I znosić to!...

Czy pojmie który z ludzi tę żałość
Tę walkę i ten trud;
Żal na straconą duszy wspaniałość
Stracony cud?

Szare powietrze i niebo szare
Szary słoneczny pył —
Myśl już grzybieje a serce stare,
Śmierć w głębi żył...

Godziny płyną takie ślimacze,
Jakby kto trzymał je;
A tam coś boli, a tam coś płacze
Na samem dnie.

To struny pieśni, struny zerwanej
Nieustający syk:
To ból maleńki, a rozszlochany
W rozpaczy krzyk.

W wszystkich zakątkach istnienia przędzie
Ruin i pustek sieć —
To ból maleńki, a czuć go wszędzie,
Jak gorzką śniedź.

I wstrząsa wszystkie dawne złudzenia,
Jałowi szczęścia grunt —
To ból maleńki. a życie zmienia
W ciężar i bunt!...

Jak długo pieśni, tak długo życia,
Potem niech krzepnie krew!
Mijają cudy, mijają śnicia,
Gdy minął śpiew...

Każdy dzień jarzmo na barki wkłada,
Wprzęga przemocą w pług —
A myśl jak ziarno bezpłodne pada
Na cierń i głóg.

Tęskno za grobem, tęskno za światem,
Gdzie duch ma lepszy dział,
Gdzie ton jest pieśnią, a woń jest kwiatem,
Gdzie niema ciał.

Bo kiedy życie zejdzie na marne
To może grobu cieśń,
Może te piaski będą cmentarne
Grać ciszy pieśń.

Pieśń taką cichą, że jej żyjący
Żaden nie schwyci słuch,
Tylko ten popiół w grobowcach spiący
I wolny duch...

Jak długo pieśni, tak długo życia,
Potem niech krzepnie krew!
Mijają cudy, mijają śnicia,
Gdy minął śpiew.

LOS.

(FANTAZYA DRAMATYCZNA).

.... This work of a night —
„This wreck of a realm —
„This deed of my doing —
„For ages I've done,
„And shall still be renewing!
Byron „Manfred“.

CZŁOWIEK.

Lilio! tak prędko straciłaś swą białość!
O szczęście, jakże mizerna twa trwałość!

Słychać śpiew.

ŚPIEW. Przez wieków mgły,
Przez krew i łzy
Przechodzi ślepy los...

WIDMO.

Słuchaj pieśni!
Nie tej, która brzmi radością,
Lecz tej, która najboleśniej
Duszą twą zatarga —
Nie tej, która szczęśliwością
Mami chęci w tobie,
Lecz tej, co jak martwa skarga
Kładzie się na grobie.
Tam masz wszystko...
I złamanych sił ognisko

I zerwanych strun akordy
I rozpaczne zwątpień hordy.
Tam masz wszystko...
I wesele porąbane
I nadzieję strutą;
Krótkie szczęście opłakane
Niezmierną pokutą. —
Piosnka radość,
To nie koniec!
To dopiero chytry goniec
Łzy, co idzie tuż, tuż za nią,
A jest siostrą i jest panią
Twojej doli.
Ha! ha! bladość
Czerwień liców twoich plami:
Już cię boli
Serce — już wybuchasz łzami,
Tak prędko...

CZŁOWIEK.

Wzrok twój taki stalowy,
Głos twój taki grobowy...
A przecież strachem, jak wędką
Przyciągasz mnie.
Kto ty? i zkądeś przyszedł?

WIDMO.

Z ludzkiego grzechu jam wyszedł,
Jak grzyb wgryza się w pnie,

Tak ja do ludzkiej istoty
Przyrosłem milionem szponów.

CZŁOWIEK.

Kto ty?

WIDMO.

Kto ja? — Ja większy niż Bóg!
Aniołów strącam z ich tronów,
Aniołów zmieniam w szatany
I stawiam w rzędzie swych sług.

CZŁOWIEK.
(Żegna się).

Tyś upiór chyba zbłąkany,
Lub może szatan — kusiciel;
Idź precz!

WIDMO.

Mnie nie odstraszy znak krzyża,
Ni żadna rzecz!
Ty nie bluźń! bo jam zbawiciel,
Co nicość skinieniem zbliża.

CZŁOWIEK.

Tyś śmierć!! Przyszedłeś po mnie —

WIDMO.

Nie! Śmierć to moje narzędzie,
To tylko berło w mej dłoni.

CZŁOWIEK.

Czarno, cmentarno koło mnie;
Twe skrzydła sięgają wszędzie,
Twój wzrok, jak strzała gdzieś goni.

WIDMO.

Patrz! tam syn matkę morduje...
Czy słyszysz jęk?
To serce Boga tak jękło,
Bo Bóg sam cios taki czuje.
Uchwycił piorunów pęk
I nad ludzkością przelękłą
Ognisty przeleciał grad.

CZŁOWIEK.

I matkobójca padł
Rażony gromem!

WIDMO.

Nie! oto stoi nietknięty
Karą ni sromem.

CZŁOWIEK.

Lecz on na wieki przeklęty!

WIDMO.

Przez kogo? Jam mu rozkazał
By nóż w pierś matki zanurzył;

Więc choć krwią duszę pomazał,
Mnie tylko służył.
Patrz! nóż spokojnie obmywa
Z dymiącej krwi
I trupa matki porywa
Ciska za drzwi —
Jutro z tej zniknie krainy
I pójdzie w obcy świat.

CZŁOWIEK.

A furya piekielna sumienia?
A boski straszliwy sąd?!

WIDMO.

Nim dojdzie do kresu istnienia
W cnotę przemieni błąd
I wejdzie przez bramy zbawienia
W kraj, gdzie ma słońce początek.

CZŁOWIEK.

W każdy mej duszy zakątek
Przelewasz jad. Kto ty?!

WIDMO.

Twój pan dobry i zły.

CZŁOWIEK.

Gdzie Bóg?!

WIDMO.

W niebie. Nad niebem — Ja!

CZŁOWIEK.

Nie! tyś wcielenie zła,
Tyś szatan, Boga wróg!

WIDMO.

Tworzę szatanów i aniołów,
Zbrodnię i cnotę w ludzi kładę;
Buduję szczęścia z ich popiołów,
By znowu zepchnąć je w zagładę.
Z każdym człowiekiem chodzę razem
Myśli i czyny mu podsuwam;
Dotykam kwieciem lub żelazem,
Cieszę, ożywiam lub zatruwam.
We mnie jest bytów przeznaczenie,
Góra i otchłań w życia drodze;
Przez wieki wieków nieznużenie
Porywam wszystko na swe wodze.
Nim grób przysypie piaskiem oczy.
Ja naprzód życia zrywam nerwy;
Nim głaz się do przepaści stoczy,
Ja muszę go potrącić pierwej.
W maszynie życia rwącej, gwarnej,
Tamuję zbytni ruch motorów:
Codziennie na tablicy czarnej
Przeznaczam kres milionom tworów.
Wysyłam śmierć, wiernego sługę
Tablicę daję jej do ręki:

Gdzie przyjdzie, łez zostawia strugę,
Zkąd wyjdzie — groby, żale, jęki...

CZŁOWIEK.

Odejdź! ja nie chcę słuchać twych słów —
Odejdź! bo w głowie mózg w lód się ścina...
Nie!... zostań lepiej — i dalej mów,
Jaki jest bytu cel i przyczyna?
Gdzie źródło zbrodni, gdzie źródło cnót?
Czemu nieszczęście ludzi rozdziera?
Czemu szczęśliwość jest złudą złud?
Czemu, co żyje, schnie i umiera?

WIDMO.

Życie ziemskie jest celem dla siebie,
Życie wieczne nie łączy się z niem —
Dobrem rządzi wielki władca w niebie,
Wielki szatan panuje nad złem.
Otchłań leży pomiędzy ich państwem,
Otchłań straszna bez brzegów i kładek,
Lecz drży piekło przed nieba kapłaństwem
I drży niebo przed piekła tyraństwem —
Każde o swój się lęka upadek.
Ziemia wspólną jest walki areną,
Człowiek zlepkiem dwóch pierwiastków wrogich,
A śmierć końcem sporu i oceną
Zła i dobra.
Przed myriadem lat ziemi nie było
I nie było ludzi tylko duchy,

Aż się Bogu królestwo znudziło,
Świat aniołów wydał się mu głuchy.
Więc zamyślił utworzyć istotę
I tę wolną wolą wyposażyć
I wlać w pierś jej za niebem tęsknotę
I w jej duszy swe słońce rozżarzyć,
Ale szatan odgadł to i Bogu
Wnet podsunął ciało pełne grzechu;
Odtąd czycha wciąż na bożym progu
W każdej cząstce ludzkiego oddechu.
Wolną wolę swą obręczą ścisnął,
W cnocie utkwił, jakby sztylet zbrodnię,
A nad mózgiem, jak jastrząb zawisnął
Myśli jasną w nim tłumiąc pochodnię.
Człowiek, mara — to utwór dwulicy,
To wcielona walka i nieszczęście,
Gdzie zło, dobro, jak dwaj wojownicy
Przeciw sobie zaciskają pięście.
Jego wolna wola, to oszustwo!
Którem rozpacz chce wypędzić żrąca
I zapełnić sił wszelkich ubóstwo,
Choć mdło błyszczeć, nim go w ciemność strącą.

CZŁOWIEK.

(*Modli się*).

Wielki Ojcze, co władasz na niebie,
Ratuj mię!
Otom w ciężkiej chwili i potrzebie,
Zlituj się!

Ojcze, Twego nie opuszczaj syna,
Bo go w piekło ta ciągnie godzina —
I nie wróci już do Twych ołtarzy,
Ni się Tobie modlitwą uskarży
Na ból serdeczny —
Patrz! zło Twojej Wszechmocy urąga,
Chciwe ręce po część Twą wyciąga.
Ratuj duszę moją przed zachwianiem!
Ratuj siły moje przed ustaniem!
Ratuj mnie Wieczny!

WIDMO.

Jak sęp tęsknota duszę ci wyjada;
Krwawe kawałki jej rzucasz ku niebu,
Lecz ci nie przyjdzie ztamtąd dobra rada:
Tyś jest własnością ciemnego Erebu.
Choćbyś pokutą szarpał ciała tkanki
Nie wejdziesz nigdy za niebieskie szranki!
Tamten nożem serce matki przeszył
I spokojnie jadł potem wieczerzę,
Tyś ni w myśli śmiertelnie nie zgrzeszył,
Przecież tobie los spokój odbierze.
Bóg tamtemu przebaczy morderstwo,
Tobie wyrwie śmierć z za warg bluźnierstwo.
Chwila jedna tamtemu wystarczy
Przy konaniu zmazać krwawy błąd;
Chwila jedna twą duszę obarczy
I potępi ją straszliwy sąd.
Dla twej duszy nie ma miejsca w niebie:
Nie ma nigdzie ratunku dla ciebie!

CZŁOWIEK.

Słowa modlitwy w ustach mi konają,
Ból się już w gorycz zmienia jadowitą;
Duchy ciemności mą wiarą igrają,
Ranę zwątpienia w niej jątrząc ukrytą.
Gdzie był Bóg, kiedy duszę rozdzierałem
I o ratunek do nieba krzyczałem?!

WIDMO.

Nie ma ratunku przeciw przeznaczeniu!
Boga nie wzywaj, bo i on bezsilny —
On kładzie pieczęć na kamień mogilny
I pierwszy głos ma przy dusz osądzeniu,
Lecz przy bezmiarze nawet swej litości
Nie może piekłu odebrać własności.
Dotąd ci wolno było być szczęśliwym,
Dotąd ci wolno było modły szeptać,
Ale los przestał już być litościwym,
Coś czcił, w coś wierzył, teraz musisz deptać.
Twą wiarę ostrze zwątpienia już wierci,
Czujesz już zamęt w mózgu, w duszy chwiejność;
Nie doznasz ulgi pociechy przy śmierci,
Każdą łzę żalu spali beznadziejność!

CZŁOWIEK.

Bóg mnie opuścił i anieli,
Przez każdą porę wchodzi we mnie ciemność.
Czym na śmiertelnej już pościeli?
Czy dla mnie wszystko, wszystko już daremność?!

Czym ja jest zbrodzień, że mnie wleką
Czarni oprawce na miejsce stracenia?
Po drodze ogniem ciało pieką
I krzyczą wyrok mego potępienia!

WIDMO.

Tyś potępionym był już w łonie matki:
W rozkosz rodziców twoich wlałem zgubę,
W nasieniu twojem uschły wszystkie kwiatki,
Które Bóg zasiał na cześć swą i chlubę.
Wspomnienie tylko pozostało w tobie,
Na niem wzrastała ci w piersi tęsknota.
Pamiętasz żal twój przy rodziców grobie?
I słowo matki ostatnie: »sierota«!
Pamiętasz łzę tę, co ci lica spiekła
I całą duszę przewierciła do dna?
Odtąd nosiłeś już w sobie część piekła
I myśl twa często śmierci była głodna.
Potem cię szczęścia łudziły pozory,
Zapominałeś grobów coraz częściej;
Lecz to, co marzy nieprzytomnie chory,
Czy to jest szczęście? O to nie jest szczęście!

CZŁOWIEK.

O, nie bluźnij! ja byłem szczęśliwy,
Nimeś przyszedł nieszczęścia zwiastunie!
Żal mój dawny, to był smutek tkliwy,
Smutek cichy przy drogich całunie.
Nigdy rozpacz zła mną nie owładła,
Oprócz w jednej chwili młodocianej,

6*

Kiedy, jak kruk na mem sercu siadła
I jad chciała przelać w jego rany.
Lecz nie długo trwało to szaleństwo,
Które wiarę zbyt słabych zakłóca:
Odrzuciłem od siebie przekleństwo,
Jak się szmatę plugawą odrzuca.
Po coś przyszedł, ty czarny, posępny?
Czemu pragniesz mój spokój zakłócić?
Czemu pragniesz, bym stał się występny?
Czemu pragniesz mą drogę odwrócić??

WIDMO.

Ja tylko powinność spełniam swoją;
Przychodzę i mówię: — Tyś przeklęty!

CZŁOWIEK.

Ja przeklęty?!

WIDMO.

Tyś przeklęty!!
Przy tobie ciemności duchy stoją,
Od Boga, od słońcaś jest odcięty.
Ciemnością, jak płaszczem cię owinę
I wszelkiej pozbawię cię słodyczy —
I musisz iść za mną, dokąd skinę
Na oślep, bez gwiazdy przewodniczej;
Więc w gorycz się dusza twoja zmieni
I pójdzie z rozpaczą w państwo cieni!

CZŁOWIEK.

(Z jękiem).

O duchu matki zlituj się!
O duchu matki ratuj mię!
Ty biała, ty święta, o ocal swe dziecię
Przez Boga samego wzgardzone!
O módl się ty za mną do niego w tym świecie,
Gdzie słońce ci splata koronę.
O módl się ty za mną, gdy stoję sierocy,
Gdy moja modlitwa przeklęta;
O módl się ty za mną w tej chwili niemocy,
O módl się ty biała, ty święta!
Ma wola już niczem, ma wola spętana,
Strasznego coś dzieje się ze mną;
Rzuć światła, otuchy choć trochę, świetlana!
Bo źle mi... tak źle mi, tak ciemno!
O matko, przyjdź! Niechaj uwierzę niezłomnie,
Że Bóg mnie przez ciebie ratuje.
Ostatkiem mdlejących sił wołam: zejdź do mnie!
Niech widzę cię, słyszę lub czuję!

(Ciemność coraz większa; słychać jęki).

Co to za jęk okropny słyszę?

GŁOS DUCHA.

Synu! przerwałeś moją ciszę,
Ciszę ciemności i tortury.

CZŁOWIEK.

Kto to, co synem mnie nazywa,
A wydał taki jęk ponury,
Jakby mu piekło gniotło duszę?

GŁOS DUCHA.

Synu, twa matka cię przyzywa;
Twa matka wiecznie nieszczęśliwa,
Abyś szedł dzielić z nią katusze.
Synu, ja męki znoszę!

CZŁOWIEK.

(Z rozpaczą).

Kto ty?!

DUCH.

Wszak mnie wołałeś, więc przychodzę
Z miłością dawną do sieroty,
Co biedny tutaj i samotny
Stoi, jak głaz na pustej drodze.

CZŁOWIEK.

O precz, ty duchu! Precz, przewrotny!

DUCH.

O nie przeklinaj matki swojej!

(Przychodzi bliżej).

Patrz i chodź ze mną!

CZŁOWIEK.

Kto tu stoi?
Przebóg!! to matka — potępiona!!!

(Pada twarzą na ziemię).

DUCH.

(Żałośnie).

Synu, kajdany na mnie brzęczą
I ciemne klątwy we mnie jęczą —
Synu, widziałeś moje życie:
Kochaniem, wiarą tylkom żyła,
Lecz los przypełznął do mnie skrycie,
Gdy śmierć już czoło pobieliła
I wetknął w duszę mą wątpliwość
W przyszłe istnienie i szczęśliwość.
(Jęczy)... Powlekli mnie w ciemności wieczne,
Powlekli mnie w płomienie;
W chaosy jakieś bezsłoneczne,
Gdzie chlebem jest cierpienie.
Synu! mnie woła moja dola,
Ja iść już muszę w ciemność;
Synu, pamiętaj! Ludzka wola
To kłamstwo i daremność!!

(Duch znika).

CZŁOWIEK.

(Wijąc się po ziemi).

O ziemio, otwórz się!
O ziemio, pochłoń mię!

Czy to była matka, która takie wieści
 Tutaj jęczała?
Czy to była matka, która mnie w boleści
 Na świat wydała?
Tak, to była ona. W męce i sromocie,
 Jedna z szatanic!
Piekło swą chorągiew zatknęło na cnocie —
 O bolu bez kresu, bez granic!

WIDMO.

Chodź ze mną!

CZŁOWIEK.

(Wstaje; rozpaczliwie).

 Precz! Jeszczem dość silny:
Mam jeszcze kwiat jeden, kwiat Lilii,
Przed którym drżeć musisz, ty czarny.

WIDMO.

»Lilio, tak prędko straciłaś swą białość.
O szczęście, jakże mizerna twa trwałość!«
Do stóp mi upadnij bezsilny!
Twa Lilia kochanką w tej chwili
Przeróżnych barwistych motyli;
Twa Lilia — o biedny, o marny
Ty prochu!

CZŁOWIEK.

(Z obłąkaniem).

Kto ty? Ty straszliwy,
Co w jednej mi chwili wiek męki
Zesłałeś?

WIDMO.

Ja huragan żywy!
Nie pytaj o moje nazwisko,
Bo w pył cię rozetrą te dźwięki!
Jam pośrednikiem między potęgami
I każdej część jej należną oddaję.
Pomiędzy piekłem i między niebami
Z wagą zarówno obciążoną staję;
Po jedną szalę zaraz piekło bieży,
A druga szala do nieba należy.
Wszystko zależy od mego wyroku:
Dział złych i dobrych; ciemności i słońca.
Ja wieczny tułacz o olbrzymim kroku
Przemierzam świat od końca aż do końca.
Ja jestem ziemi osią i podstawą,
Ze mnie powstało równowagi prawo.
Co mnie łzy ludzkie? co mnie ich niedola?
Ta walka dwóch pierwiastków połączonych;
Do mnie należy rozdzielanie pola
Dla dwóch przeciwnych władców nieskończonych.
A choć obydwóch ogromna potęga,
Ma niżej piekła, wyżej nieba sięga.
Bo, gdyby nie ja, te dwie wrogie władze
Wzajem by sobie potrzaskały głowy
I nietrzymany wszechświat w równowadze
Przeszedłby w chaos — w chaos już bezpłciowy —
I w pozbawionej okresów wieczności
Już by nie było nic, oprócz martwości.

Lecz ja na wodzy trzymam nienawiście
Niepokromione dwóch straszliwych bogów;
I w trzasku gromów i orkanów świście
Wchodzę do niebios, to do piekła progów
I obu państwom daję rozdzielone
To, co w człowieku było połączone.
Ja jestem sędzią najwyższym i miarą
Rozjemcą walki, lub jej rozstrzygnięciem,
Nagrodą ślepą i bezduszną karą:
Niebios i piekieł i światów objęciem.
I wszędzie chodzę samotny wędrowiec
Bez skry litości, jak twardy lodowiec.
Więc twoje marne, stratowane serce
I twoja strachem kołysana dusza
I płomyk w twego bytu mdłej iskierce
I cała rozpacz i wszystka katusza
I wola w mózgu miękkiego obrębie
Nie zmienią nic i pójdziesz w czarne głębie.
Boś ty jest szali owej dopełnieniem,
Która na pastwę przeznaczona cieniom
I swojem drobnem, robaczem istnieniem
Ocalisz władzę bogom, byt stworzeniom.
Chodź ze mną prochu życia niedołężny!
Wzywa cię pan posępny a potężny...

CZŁOWIEK.

Wiaro, ma biedna wiaro!
Duszy ma, ślepa ofiaro!

(Zabija się).

(Z wysileniem).

Z prochu i krwi
Ostatni wznoszę głos:
Kto ty!?

WIDMO.

Jam los!!
Nieubłagany, nieugięty,
Jak kres człowieczych dróg.

CZŁOWIEK.

Przeklęty bądź, przeklęty!
Przeklęty szatan i Bóg!

(Kona).

EPILOG.

Przez wieków mgły,
Przez krew i łzy
Przechodzi ślepy los.

Olbrzymim lotem
Daje skinienia;
Błędnych ócz zwrotem
Koleje zmienia,
Rwie duszę, pobiela włos.

O trupie! czy tylko ty
Padłeś, gdy skinął on?
Zmierz krew i policz łzy
Ze wszystkich świata stron;
Porachuj drgawki zranionych dusz,
We wszystkie rany swe palce włóż
I w piekło zstąp
W przeklętą głąb,
Ile tam bolów drży!
Ile tam przekleństw śpi!

Przez wieków mgły,
Przez krew i łzy
Przechodzi ślepy los.

Zkąd słyszysz jęk,
Gdzie wybuchł szloch,
Gdzie kwiecia pęk
Zesechł się w proch,
Zkąd anioł-stróż
Odleciał już,
Tam wstąpił los,
Wszechwładny los!
Gdzie westchnień łkanie
Przeszło w rozpaczy
Ponury głos,
Tam, jak skazanie
Wiecznie tułaczy
Przypełzał los.
Gdzie przyszedł kres
I wepchnął nóż,
Gdzie ból bez łez
Wierci dna dusz,
Gdzie z krwi i męczeństwa
I z wszystkich ran
I z wszystkich groz
Powstały przekleństwa —
Tam wstąpił los,
Nieubłagany pan!

Przez wieków mgły,
Przez świata łzy
Czerwona tryska krew;
Bieleje włos,
Gdy ślepy los
Posępną zmarszczy brew!

SZALONA MŁODOŚĆ.

Z DZIEJÓW MIŁOŚCI.

SONETY.

I.

Wzrok pragnienia ci błyszczy pożarem,
Rozszerzone źrenice się tlą
Dzikim, stokroć niebezpiecznym żarem;
Usta suche konwulsyjnie drżą.

W żyłach szumi krew gorącym warem,
Drżące ręce chwytać, ściskać chcą...
Ciało, ciało ukołysać czarem,
Ubezwładnić piorunową skrą.

Oj dziewczyno! Rozkoszą kochanie
I Edenem dwojga piersi ścisk!
Lecz zbyt prędko odpływa wezbranie

I zbyt prędko gaśnie prochów błysk...
Potem w fałsz już przechodzi krwi granie,
W żal zapóźny krótkiej chwili zysk.

II.

Czuję białe na szyi ramiona
I gwałtowne parcie wrzącej krwi...
Z piersi twoich opada zasłona —
Wstęp do raju wstrzymujące drzwi.

Biała, chłodna śnieżność twego łona,
Tknięta ognia pocałunkiem, drży...
Coraz bardziej drży zaróżowiona,
Coraz więcej ognia pod nią skrzy.

Przycisnąłem rozpalone usta;
Długo, długo ssałem żar i miód,
Aż mi pierś się uczyniła pusta,

Aż uczułem za powietrzem głód — —
Nie odpychaj! wszak to nie rozpusta...
Nie odpychaj; zbyt słaby to trud......

III.

Czemuś taka drżąca i wstydliwa?
Czemu spuszczasz rozpalony wzrok?
Czy się w tobie sumienie odzywa?
Czy w przepaści może patrzysz stok?

Dłoń twa piersi różowe zakrywa;
Kochasz? droga — nie patrz w tył ni w bok,
Nie bądź taka łzawa, taka tkliwa,
Daj uczuciom i krwi wolny tok..!

Ot, odkryłaś znowu pierś z pod gazy
I podniosłaś zapłonioną twarz —
Wycałuję twą pierś setki razy,

Tysiąc razy! — — — Ty tymczasem marz
I w rozkoszne spoglądaj obrazy — — —
Droga! — jaką słodką ty pierś masz.....

IV.

Płomień ust swych z mych ust spój płomieniem,
Ubezwładnij myśl, w ogień się zmień!
Co nam z myśli? co nam z tem brzemieniem?
Teraz, gdyśmy w raju weszli sień —

Przestąpiony próg. Poza myśleniem
Błyszczy także słońce, płonie dzień:
Świt, co z jednem, szybkiem oka mgnieniem
W nas rozpali bezlik zórz i lśnień.

Obłąkana spoglądasz mi w oczy
I nerwowo ściskasz moją dłoń,
Rzeczy przeszłych pamięć ci się mroczy,

Czujesz tylko bezmiar, widzisz toń - - -
A łza ciężka z oczu ci się toczy:
Z nią ostatnia z rąk wypada broń.

V.

Nie płacz, słodka! bo ogień pożera
Łzy i tłumi ten spóźniony żal,
W każden nerw się błyskawicą wdziera,
Do białości krwi rozpala stal.

Rozkosz! Rozkosz, ta wielka i szczera
Spycha z bark twych cnoty twardy szal,
Kluczem z ognia wstydliwość otwiera,
Chodzi wichrem wśród uczucia fal — —

Nie drżyj, słodka! Popatrz na mnie jasno!...
Ach! w twych oczach dziwny czytam lęk.
Poco myślisz? Niechaj myśli zasną

I sumienia niech zamilknie jęk!....
. . . . Ty, ty piękna! — oczu gwiazdy gasną,
Kiedy spojrzą na twój cały wdzięk — —

VI.

. . . Teraz żądza zaciska ci ząbki,
Oczy ślepi i obraca w słup,
W szmatki targasz muszlinowe rąbki,
Dreszcz cię wstrząsa od głowy do stóp.

Piękna jesteś z tą chucią na twarzy,
Z tem szaleństwem rozpętanej krwi,
Gdy twe ciało drga i ogniem parzy
I wraz z mojem, jak w obręczy tkwi.

Z tym oddechem, co z ust twoich bucha
I płomieniem całuje mą twarz,
Z tą swobodą rozkutego ducha

I w tym świecie, który taki nasz;
Tu nie dojrzy nas nikt, nie podsłucha —
Kochaj — ściskaj — szalej — — potem marz!....

SZALONA MŁODOŚĆ.

Żyjemy w tobie, jak w złotej świątyni,
Miękki puch marzeń myśli nasze kryje,
Czerpiemy skarby uczuć z świętej skrzyni:
Serce, jak płomień w piersiach naszych bije.
Li głową chmur się zdajemy dotykać,
Lecz potrafimy piorunów unikać.

Koło nas dęby zbutwiałe się walą,
A my stoimy i nie czujem trwogi.
Czy nasze ciało obleczone stalą?
Czy my nie ludzie?.. Czy my może bogi?
My uśmiechnięci, wśród śmierci weselni,
My nieśmiertelni!

Hej! kwiaty, wieńce sypcie nam pod nogi,
Perliste wino podajcie w pucharach!
My chcemy kwiecie mieć za nasze progi
I w Bacchusowych rozszaleć ofiarach,
Ciała i zmysły z szat wszelkich obnażyć,
Szaleć i marzyć!

A kto sił nie ma, niech się zdala trzyma,
Niech nas nie straszy drżeniem mdłego ciała,
Niech w nas nie straszy młodości olbrzyma,
Nie studzi serca, co jak ogień pała!
Stal się rozżarza, lecz słoma się spala,
Więc kto jest słomą, niech się trzyma zdala!

...Wino, jak łono kobiety faluje — —
Hej, więcej wina do tego kielicha!
Niech głowę z reszty rozsądku rozkuje,
Wszystko prócz szału, niech precz poodpycha!
I niechaj z naszej pamięci wyrzuci
Wszystko prócz chuci!

Co nas obchodzi świat, kiedy on stary,
Kiedy on siwy... hej, wina dolewać!
Niech się na nowo napełnią puchary:
My pić będziemy, całować i śpiewać.
Co nas świat stary i siwy obchodzi,
Kiedy my młodzi!

Kiedy my młodzi. — Hej, czarowna nuto!
Jak długo jeszcze dźwięczeć będziesz w uchu?
Precz z wszelką miarą! Precz z chłodną dysputą!
Nie nam spożywać okruch po okruchu,
Nie nam wypijać rozkosz po kropelce,
Lecz naraz wszystko, aż do dna w butelce!

Próżną rozbijmy w tysiączne kawałki!
Gdy jej nie można napełnić powtórnie...

A przepalonych zmysłów niedopałki
Złóżmy w śmiertelnej, wiecznie próżnej urnie:
Niech lecą w przepaść i ciemność bezgwiezdną,
Niech lecą w bezdno!

Przecież i gwiazdy światłem przesycone,
Kiedy ich rozkosz żaru spali, gasną,
Ale do końca są rozpłomienione,
Ale do końca wrząc palą się jasno;
Aż już z ostatnią spaloną drobiną
Lecą i giną.

......Faluje wino, jak łono kobiety,
Kiedy miłości i rozkoszy głodne — —
Hej, więcej wina i więcej podniety!
Za mało jeszcze myśli są swobodne.
Niech wicher wolny głowami zakręci,
W jedną chęć szału spoi wszystkie chęci!

Kochanki nasze schylają powieki
I zasłaniają nam oczu swych głębie.
Na lic białości wykwitły wypieki,
Jak ciemne róże; serca, jak gołębie
Drżą silnie w piersiach.— O, cóż was tak płoszy?
Wy kwiaty życia, wy raje rozkoszy!

Czyżbyście lękać miały się półbogów,
By nie zmiażdżyli was w swoim uścisku?
Czy może drżycie przed przebyciem progów
Świątyni szczęścia, gdzie w jednem ognisku

Dwa ciała topią się, wzajemnie gorzą
I jedno tworzą?

O nie! Wy drżycie przed tą wielką chwilą,
Bo wyobraźnia was już w nią porwała:
Już wasze ciała półmartwe się chylą,
Okrągli, wzdyma się pierś bujna, biała —
Już po was lata chuci błyskawica
I każdą porę iskrami przesyca.

......Podnieś powieki, ty co masz być moją! —
Przed chwiląm widział twe oczy ogniste,
Oczy, jakich się i bogowie boją:
Czarne, jak węgiel, jak toń przepaściste —
Odsłoń te wielkie szatańskie źrenice
I jak z chmur czarnych rzuć z nich błyskawice!

Niech mnie obejmą, jak ogniste kręgi
I moje lica pragnieniem niech zbielą!
I wszystkie zmysłów władze i potęgi
W jeden zmysł skupią, w jedną chuć zestrzelą!
Niech krew się ogniem po żyłach rozleje
I rozszaleje!

Ach, jak ty patrzysz na mnie, ty straszliwa!
Tak patrzy płomień i lawa tak chłonie —
Huragan może z wulkanem się spływa
Tak, jak te nasze złączyły się dłonie...
Czeluść wulkanu nie jest tak głęboka,
Jak ty przepyszna! Jak ty czarnooka!

. . . .

. . . Leżysz bezwładna, jakby zawstydzona,
Nagie ramiona włożywszy pod głowę;
Niepewnie błyska źrenica zamglona
I drgają piersi białe i różowe...
Hej, powstań! ciężka rozkoszą dziewczyno,
Wstań i pij wino!

Pij, a wnet w ciebie siły świeże wstąpią
I żądzą znowu zapłonie ci oko.
Dopóki losy czaru nie poskąpią,
Dopóki zmarszczki ciała nie powloką —
Pij wino, kochaj, pieść na śmierć dziewczyno
I znów pij wino!

Ciało twe pachnie, jak kwiat najpiękniejszy,
Objęcie twoje śmierć i niebo razem;
Ale zwrok smutny i coraz smutniejszy —
Hej! wiedz, że smutek jest u nas zakazem:
Nas smutek drażni, troska nie obchodzi,
Bo myśmy młodzi!

Bo myśmy młodzi i chcemy być młodzi:
Wino i rozkosz z pełnych wciąż pić flaszek,
Płynąć ku śmierci, lecz w zielonej łodzi,
Pośród weselnych pląsów i igraszek.
Hej, wiedz dziewczyno! smucić się nie godzi
Pókiśmy młodzi!

Skoro śmierć przyjdzie, nie ujrzy nas smutnych,
Lecz rozbawionych, uśmiechniętych, strojnych;
Z ostatkiem zdrowia — lecz jeszcze rozrzutnych,
Ostatkiem zdrowia i sił jeszcze hojnych!
Wzniesiemy toast ostatnim oddechem
I z blasków w ciemność pójdziemy z uśmiechem.

Hej, pij dziewczyno! wino smutek strząsa
Z czoła, jak z kwiatu wiatr osę natrętną...
Smutek, jak osa ludzkie serca kąsa:
Kwiaty od żądeł, serca z smutku więdną —
Więc pij dziewczyno, bądź z nami wesoła,
Nie chmurz młodego i białego czoła.

. . . . Hej! hej! dolewać wina do pucharów,
Utonąć w łonach kobiecych, jak w puchu,
Zanim wpadniemy w ten bezdenny parów,
Gdzie nam już leżeć bez czucia, bez ruchu....
Niechaj nam w drogę żaden ból nie wchodzi
Pókiśmy młodzi!

TĘSKNOTA.

TĘSKNOTA.

I.

Szła raz tęsknota za mną i oddechem
Swoim mą duszę otaczała całą;
Było to wtedy, gdy mi się zdawało
Jeszcze, że marzyć — tęsknić nie jest grzechem.
Więc dałem chodzić za sobą tęsknocie,
Jakby kochanej i miłej istocie.

Szła za mną biała, jak pas mgły słonecznej,
Pieszcząc mnie smutkiem, ciesząc obietnicą,
Że mi się spełnią sny myśli serdecznej,
Że Jutro błyśnie przyjazną źrenicą.
Wierzyłem tęskniąc, więc tęsknota owa
Z białej stawała się, jak świt różowa.

Czyż co być może milszego od świtu,
Co zapowiada słońce, dzień i życie?

Różowe pasma płyną od błękitu,
Zbudzonej ziemi serca słychać bicie...
A ptactwo wstając z zielonej pościeli
Szczęśliwość nieba, radość ziemi dzieli.

— Takim mi świtem była ta tęsknota.
Chodziłem smutny, lecz w smutku radosny;
W piersi mi rosła do życia ochota,
Ochota ptaka, motyla i wiosny.
Czekałem słońca, co wielkie przyjść miało
Wielkie i jasne — i serce mi drżało.

II.

... Szła raz tęsknota za mną i jęczała;
Szloch w tem jęczeniu słyszałem zduszony.
Serce mi cierpło, a dusza omdlała
Ciężyła we mnie, jak trup opuszczony.
Nie było komu przyjść wyjąć jej ze mnie:
Trup się psuć zaczął. Ach, wzywać daremnie
Ratunku wtedy, gdy dusza umarła,
A ciało żyje, myśl i serce żyje —
Choć głos wypadnie z ściśniętego gardła,
Serce, jak owad na szpilce się wije;
Dusza zemdlona, jak trup bezmogilny
Cięży... O czemżeś ty wtedy? Ty silny
Człowieku, który myślą, jak toporem
Władasz? Czy zdołasz wskrzesić duszę swoją,

Skoro raz jeden zemdlona upadnie?
Czy zdołasz sercem tak kierować chorem,
By jego struny — gdy raz się rozstroją —
Zadźwiękły znowu dźwięcznie i gromadnie?
O czemżeś wtedy? Czem twoja usilność?
Czemu nazywasz siłą swą bezsilność?!

III.

Szła ta tęsknota za mną mrokiem, rankiem;
Nocą siadała u mojego łoża,
Zeschniętych kwiatów potrząsała wiankiem,
A w jej źrenicach była siność morza
I był ten pierwszy początek rozpaczy,
Kiedy myśl ostrzem o serce zahaczy.

Słyszałem czasem po nocach śpiewanie
Dziwnie posępne, dziwnie magnetyczne:
Jakby wzajemnie dusz nawoływanie
Niezrozumiałe, lecz majestatyczne...
Tęsknota wtedy na pierś mi wchodziła
I dziko pieszcząc, krew czerwoną piła.

IV.

Z otwartych grobów
Wychodzą duchy,
Wychodzą milcząc w szeroki świat.

Z otwartych grobów
Na piasek suchy,
Na piasek suchy spadł kości grad.

Leżą gromadnie
Żółte i białe,
Białe i sine zmieszane razem.
Leżą bezwładnie,
Jakby zdumiałe
Nad własnem Niczem, własnym obrazem.

A duchy lecą
Tłumnie, a cicho —
Cicho a tłumnie gdzieś w oddal mkną,
Gdzie gwiazdy świecą
Blaskiem i pychą,
Gdzie gwiazdy jasne w lazurach tkwią.

Gwiazdy ciemnieją:
Duchy z powrotem,
Z powrotem duchy na cmentarz spieszą...
Koguty pieją
Za domów płotem;
Wnet ludzi ze snu: z półśmierci wskrzeszą.

Do trumien kości
Weszły, a groby,
A groby szczelnie zwarły się smutne —
Pełne żałości
Krzewy żałoby
Stoją i szepcą modły pokutne.

V.

Słyszałem taką pieśń dziką, posępną.
Grała w powietrzu i w mej piersi grała —
I sam się czułem tą duszą występną,
Co tam ku gwiazdom, ku światłu latała,
Lecz odepchnięta z wzgardą od jasności
Wracała w grób swój i w swoje ciemności...
I mnie tęsknota rozrywała łono
Upiorowato wybladłemi usty;
I piła ze mnie życie, krew czerwoną
I wysysała szpik szałem rozpusty.
Cierpieniem pragnień zmierzywszy bezdenność
Wpadałem potem w ciężką, jak grób, senność.

VI.

... Świtów promieniu, gdzieżeś odlatywał
Wtedy, gdym tęsknił za twoim widokiem?
Wtedy, gdy budząc się ciebiem przyzywał
I z nocy wstając dniam się skrywał mrokiem;
Czemuś nie wschodził u moich zenitów,
Promieniu świtów?

Czy ci nie było żal tej ludzkiej duszy,
Którąś upieszczał dawniej i całował?

Zdroje lat światła w oczy, dźwięków w uszy —
Czy ty pamiętasz, coś ty mi zwiastował?
Gdzież owo słońce? u jakich błękitów
Promieniu świtów?...

VII.

Chodzi tęsknota za mną, chodzi blada:
Zawsze ta sama nieśmiertelna bladość;
Chodzi dniem nocą i z chwil mych wykrada
Wszelką żywotność, wszelką chęć i radość.
Więc kruche, ciemne, jak wyschłe badyle
Pełzną przedemną mego bytu chwile.

Schyliłem bladą skroń, na dłoni wsparłem;
Lecz dłoń ta była zimna, jak z marmuru,
Lub jak u trupa. — Czy to ja umarłem??...
... I znowu słyszę śpiew dziwnego chóru
I włosy wszystkie stanęły mi dębem
I ton mię każdy jął szarpać, jak zębem!

VIII.

Idziemy, płyniemy, jak mgła, jak mgła;
Nie wiemy, gdzie...?
Potęga nas rodzi i naprzód pcha
Na drogi swe.

Czemeśmy nie wiemy, ni gdzie nasz kres,
Ni gdzie nasz ląd;
Przez czerwień ran naszych i morze łez
Płyniemy ztąd.

Hej! nućmy, śpiewajmy odwieczny żal,
Tęskność i ból — — —
Idziemy, płyniemy, jak strzęp mgły w dal
Nieznanych pól!

IX.

Co to za śpiew ten?! Niema odpowiedzi...
Tylko tęsknota, jęknąwszy ogromnie,
Sinem swem okiem w mojem licu śledzi
I z głuchem łkaniem pochyla się do mnie
I w bezcielesne chwytając ramiona,
Poczyna chciwie ssać krew z mego łona.

Czym ja szalony?... Wszystkie moje zmysły
Biją tak we mnie, jak młoty w kowadło.
Lecz rozum stoi, jak rachunek ścisły,
Jasny, jak srebrne wód górskich zwierciadło,
Które nie zmruża pogodnego oka,
Chociaż lawiny ryk słychać z wysoka.

Czy ja szalony? — Nie! — Ja patrzę trzeźwo,
Ja się nie potknę o przydrożny kamień:

Tylko myśl stara przestała być rzeźwą,
Tylko już sercu zabrakło omamień,
Tylko tęsknota żyły mi wypróźnia,
Tylko się zegar mego szczęścia spóźnia.

X.

... Chodzi tęsknota, chodzi żółwim krokiem,
Przecież doścignie mnie, gdziekolwiek jestem;
I patrzy na mnie sinym, strasznym wzrokiem
I zwiędłych kwiatów zabija szelestem.
Rozsądek spada, jak strzaskana zbroja
I znów ku ranom odkryta pierś moja.

I znowu słyszę niewidome pieśnie,
Co wszystkie nerwy na wierzch mi wywłóczą...
Podchodzą cicho, martwo, bezcieleśnie,
A mnie się zdaje, że to trąby huczą —
I że już ziemia z zawiasów wylata
I rozpoczyna się śmierć i sąd świata.

Tęsknota wtedy, jak naga hetera
Kładzie się na mnie szalona, bezwstydna...
Krwawym całusem żyły mi otwiera
I krew czerwoną, żywą ssie — ohydna!
Kąsze i orgie wyprawia rozpusty,
A wciąż blademi i martwemi usty.

Czasem z tych białych warg wychodzą słowa:
— Tyś mój! na wieki mój, ty upieszczony!...
Tyś mój! a to jest nasza noc godowa:
Patrz! jestem naga i tyś obnażony...
Pod mym całusem krew się z ciebie sączy
I we mnie wsiąka i ze mną się łączy. —

XI.

— A niewidzialny chór słowa jej kończy —:
— Pod jej ustami
Blademi
Krew się sączy
I spływa kroplami
Czerwonemi...
Z nią noc godowa się nie kończy:
Tyś już na wieki wziął z nią ślub!
W niej się życie twoje streszcza,
Zgon i grób,
A choć zabija, gdy upieszcza:
Nie opuści cię! Nie opuści cię!
Tęsknij! Tęsknij! duchu żałoby
Za życia i po zgonie;
Gdy twe ciało przykryją groby
W samotnej stronie
Z duchem tęsknota popłynie,
Tęsknota wieczna,
Po górnych światów głębinie — — —

... Hej nućmy! śpiewajmy! odwieczny żal
Tęskność i ból...
Idziemy, płyniemy, jak strzęp mgły w dal
Nieznanych pól!...

... I oczy moje przykuł do się
Rozdzierający smutek wody.
K. Tetmajer.

RZEKA.

I.

Płyń, rzeko posępna! płyń w szeroki świat!
Nie daj spoczynku twym falom,
Choć łąk się uśmiecha ku nim barwny kwiat,
Choć oczy słońca je palą.
Choć takie zmęczone i spoczynku chcą
I traw zielonych uścisku;
Choć one — patrz rzeko! — już z wysiłku drżą
W twem chłodnem, długiem łożysku...

II.

Fale, fale! gdzie płyniecie?
Gdzie wasz ląd? —
W jakim świecie odpoczniecie?
W jaki kraj was pędzi prąd?

III.

Płyną spokojne, płyną zadumane,
A takie pełne boleści:
Wszystkie uczucia w nich w łzy są rozlane
I wszystkie siły oporu złamane,
Prócz siły, jaką rozpacz w sobie mieści —
Więc płyną z dziką, spokojną rozpaczą
I ciągle płaczą.

IV.

Płyń, rzeko posępna! Płyń, szukaj przystani,
Płyń, szukaj ciszy!
Aż wpadniesz w ocean i znikniesz w otchłani,
Gdzie zamęt dyszy;
Aż cię zakryje ciemnosiny kir
I porwie wir!
O rzeko, rzeko! co ciebie tam nęci?
Co ciebie ciągnie w tę stronę?
Tam wir cię chwyci, ogarnie, zakręci,
Rozerwą prądy szalone.
Rozdzielą się twoje wody,
Wpadłszy w głębię wiecznie wrzącą;
Czyste strugi twe zamącą
Szalone prądów pochody...

V.

Fale, fale! gdzie płyniecie?
Jaka siła wprzód was pcha?
W jakim świecie odpoczniecie?
Jaki kraj wam spokój da? —

VI.

Płyną spokojne, płyną zadumane
Drogą tułaczą;
Wszystkie uczucia w nich w łzy są rozlane —
Płyną i płaczą,
Próżno je wabi kwiat strojny na łące,
Uśmiecha się zalotnie
Z wysoka złotem, wielkiem okiem słońce:
One wciąż idą smutnie i samotnie.
Jakby skazane na wieczną tęsknicę,
Na wieczne za nią tułactwo,
Idą w dal blade, przesmutne krynice —
Pielgrzymie, pokutne bractwo...
... Kwiecie! promieniu! spróbuj je pocieszyć,
Spróbuj je wstrzymać na chwilę:
One nie staną; im kazano spieszyć,
Muszą ulegać tej sile —
Tej sile, która je pędzi brutalnie,
Dalej i dalej je pędzi,
Wychodząc sama cicho, niewidzialnie
Z pod każdej ziemi piędzi.

VII.

Jak jeden wielki pełzający żal
Wieczyście długi,
Wzdyma wciąż łona pomęczonych fal
Płynącej strugi.
I cóż, że przed nim uciekają w dal? —
Żal z niemi biegnie i piersi im tłoczy...
Żal z niemi biegnie i serca im mroczy...

VIII.

Gdy serce cię boli i dusza twa płacze,
Na brzegu stań i patrz!...
I patrz na te fale samotne, tułacze,
Wsłuchaj się w rzeki płacz!
Zobaczysz tam większe, niż twoje cierpienie,
Beznadziejniejszy żal:
Pustkowie mogilne, zduszone jęczenie,
Rozpaczne łkanie fal.
Patrz długo, a myśli się twoje zamroczą
Innymi, niż pierwej smutkami:
Nie wody to, ale łzy sączą się, toczą
Kroplami, falami, strugami...

IX.

I przejmie cię żal, głęboki żal
Nad temi falami biegnącemi w dal,
Bo ujrzysz w nich myśl i duszę żywą —
I przejmie cię ból, nieznany ból
Nad wieczną rozpaczą tych płynących pól,
Nad dolą nieznaną, lecz straszliwą.

X.

... I przymkniesz oczy, aby niewidzieć już
Roztęsknionych wód,
Nie widzieć bolu w łzach rozpuszczonych dusz,
Skazanych wiecznie łkać i płynąć wprzód...

XI.

I może z za bladych warg
Wyjdzie ci jedna z tych skarg,
    Które włosy na głowie bielą...
Może dosłyszysz echo tych ech,
Co jak nić w piersi zrywają dech
    I czerń śmierci przed oczy ścielą.

XII.

Płyną fale spokojnie, powoli
Drogą jedną samotną, tułaczą —
Płyną naprzód, wciąż płyną i płaczą,
Bo ich boli, co nie wiem, lecz boli...

Czy to szczątki są rozbitych doli,
Co już nigdy szczęść swych nie zobaczą,
Co się zrosły z swą własną rozpaczą,
Jak kość z prochem swej cmentarnej roli?

Może łzy to są tych prapokoleń,
Z których teraz niema ani prochu —
Łzy ich nędzy, ich smutków i boleń,

Rozszlochane w wspólnym wielkim szlochu.
Może płacze wspólna ludzka dola
Nad bytami, które zeszły z pola...

XIII.

Płyną, płyną i giną wśród morza,
Wśród bezmiaru, pośród tajemnicy,
Gdzie duch włada straszny, sinolicy,
Dokąd z światłem nie doszła myśl Boża.

Wirem pchnięte na ciemne bezdroża,
Same stają się częścią ciemnicy,
Same wirem z przesmutnej krynicy,
W której złota kąpała się zorza.

Dokąd? dokąd łzy ludzkie płyniecie?
Jaki cel wasz i gdzie wasze lądy?
W jakim kiedy odpoczniecie świecie?

Gdzie rozpaczy poniosą was prądy? — —
... Płyną, płyną i giną wśród morza,
Dokąd z światłem nie doszła myśl Boża...

ACH! JAKŻE ŻAL...

Ach, jakże żal tych istot, co się biedzą
I dbają tylko o powszedni byt;
O jakże żal tych istot, co nie wiedzą,
W jakich okręgach leży bytu szczyt;
Co każdą chwilę zapełniają troską,
Czasu nie mają spojrzeć w lepszą dal,
Nie znają świata poza ciasną wioską —
O jakże żal!
O jakże żal tych roślin, co nie kwitną,
Co choć zielone, chłodne, jak sam grób.
O jak mi żal tych kwiatów, co przekwitną,
Lub się zwalają od plugawych stóp.
O jakże żal mi tych puchowych kiści,
Gdy je wiatr zerwie i poniesie w dal
I tych jesiennych, pożółkniętych liści,
Ach, jak mi żal!
O jakże żal mi czół oblanych potem,
Twarzy sprószonych kurzem skwarnych dni;
I krwi, co gęstnie pod utkwionym grotem:
Nie wyjdzie na wierzch, tylko wewnątrz lśni.

I tych rąk twardych skamieniałych w pracy
I łzawych, piersi pustoszących fal;
I tych bogatych, co w głębi żebracy —
Ach, jakże żal!
Ach, jakże żal obłoku, co ucieka,
A za nim pędzi wicher, szybki wróg;
I tego zboża, które śniedź powleka
I tego ziarna, które tłumi głóg.
I ptaka, któren przed burzą truchleje
I bez wytchnienia wciąż biegnących fal
I tego drzewa, co stare, próchnieje —
Ach, jak mi żal!
Ach, jak mi żal tej ziemi popękanej,
Z której wypiło słońce wszelki sok
I tej garbatej, walącej się ściany
Domu, gdzie dawno ucichł ludzki krok.
I tego lasu, gdzie drzewa się walą,
Zkąd tak złowrogo dźwięczy ostra stal
I młodych dębów porąbanych stalą —
Ach, jak mi żal!
O jakże żal mi serc zupełnie próżnych,
Serc, w których niema ludzkich drgań, ni czuć;
I błędnych myśli zbłąkanych podróżnych,
Których uniosła zbyt zwodnicza chuć;
I pragnień, które płonąc zbyt namiętnie
Zrzuciły wszelki opiekuńczy szal
I w wszelką boleść patrzą obojętnie —
Ach, jak mi żal!
Ach, jak mi żal kamieni tych cmentarnych,
Po których spływa wilgoć niby łza

I tych żałoby cyprysów ofiarnych,
Które otacza wieczna smutku mgła.
Ach, jak mi żal tych wichrów, co zawodzą
Zimą wśród śniegiem zasypanych hal
I tych sarn, które tamtędy przechodzą —
Ach, jak mi żal!
Ach, jak mi żal dusz zimnych, dusz zmarzniętych
I niedostępnych żadnej ciepłej skrze
I tych półjawą, półsnem ogarniętych,
Gdzie wszelki zamiar wnet bezczynnie mrze;
I uczuć, które ścięły nagłe mrozy
I wszystkich serca zfałszowanych skal
I czynów ludzkich pod przemocą grozy —
Ach, jak mi żal!
Ach, jakże żal mi rozpłakanej brzozy,
Bezwiednych smutków, mimowolnych łez;
Upadłej na proch, zamiast na kwiat rosy,
Czystości, która w brudny zdąża kres;
I gwiazd, co muszą opuścić niebiosy,
By upaść w ciemność z swych błękitnych hal;
I dusz skrzydlatych, zgniecionych przez losy —
Ach, jak mi żal!
I żal mi oczu łzami wytrawionych,
Gdzie blask ostatni, ach, tak dawno błysł;
I istot niemych śmiercią nawiedzonych:
Tych kalek, w których zmartwiał każdy zmysł.
I roli, gdzie śmierć ciemne kopie lochy,
Gdzie taki smutny każdy ziemi cal,
Bo w każdym drzemią czaszek i serc prochy —
Ach, jak mi żal!

... I żal mi życia snu, że taki krótki
I pryska nagle, jak słabiuchna nić
I dusz, co w głębi Charonowej łódki
Przestają cierpieć, lecz przestają być.
I bytów — krótko palącej się słomy —
Wyłaniających się wciąż z twórczych fal,
Aby znów gasnąć w materyi znikomej —
Ach, jak mi żal!...

WSPOMNIENIE STARCA.

Graj! — niechaj muzyki tony
Buchają dokoła falą,
Jak potok górski spieniony
Bryzgają — śmieją się, żalą...
Niech pędzą w dzikich podskokach
Wciąż dalej, w ułudy kraj
Po stromych kamiennych stokach;
Graj dalej... ach, graj mi, graj!

Lubię, tak lubię się wsłuchać
W melodyę różnotonową,
Gdy pieścić poczną i gruchać
Wyraźną duszy mej mową;
Gdy poczną potem wybuchać
Namiętnych porywów falą —
Tak lubię, tak lubię słuchać
I czuć, jak pragną, jak palą

Graj dalej! dalej graj dziecię,
Nie ustaj! pragnę muzyki,
Jak rosy zeschnięte kwiecie,
Jak drzew zielonych słowiki.
Mniej wtedy głowę pochylam,
Starości nie czuję tak:
Wierzyć się tylko wysilam,
Że wraca wiosny mej ptak.

... Grasz dobrze, młoda dziewczyno!
Widać, że czujesz te słowa,
Co z każdej melodyi płyną,
Jak gdyby baśń stuwiekowa.
A ja ją chwytam i kładę
Do mego serca świątyni
I ściany stare i blade
Drżą tęsknie ku tej bogini.

Bo stuwiekowa ta gadka:
To młodość, miłość, snów żywość;
To cudy do dni ostatka
Wspominające szczęśliwość...
I jam, dziewczyno, był młody
I jam znał wiosnę i maj.
Dni marzeń i dni pogody...
— Graj dalej... ach, graj mi, graj!

Głaskasz i pieścisz klawisze:
Śpiewają rzewnie i miękko;

Dziewiczą miłość w nich słyszę
Z tęskną na ustach piosenką.
Pierwsze serc młodych ocknięcie,
Niepokój szczęścia, zdziwienie...
Słabe dwóch dłoni zetknięcie
I pierwsze cudne marzenie...

Ja starzec i włos mój siwy,
Zgrzybiała ręka się trzęsie,
A przecie prawiem szczęśliwy,
Łzy słodkie czuję na rzęsie:
Ta pieśń mnie wiedzie miłosna
W urocze, przepiękne dni,
Gdy moja pachniała wiosna...
I dobrze, tak dobrze mi!

... Palce twe żywiej już drgają,
Mocniejsze płyną harmonie;
Gorętsze uczucia wstają,
Silniej ściskają się dłonie.
Oddech z oddechem się styka,
Wzrok z wzrokiem, usta z ustami;
Pierś piersi jeszcze unika:
Niewinność drży przed ogniami.

... Pamiętam, ciepły wiatr wionął
I gdzieś wśród kwiatów się schował;
A jam w jej oczach utonął,
A jam jej usta całował...

A ona drżąc wcałowała
W mą duszę szczęście i raj —
Ma wiosna, ma lilia, ma biała!...
... Graj dalej... ach, graj mi, graj!

... Snop iskier z klawiszów tryska,
Dźwięki się pieszczą namiętnie;
Pierś z piersią wiąże się, ściska
I tętno bije przy tętnie...
Zmysł w zmyśle tonie, nerw w nerwie,
Blask krwawy z wzroków wykwita —
Uścisku nic już nie przerwie,
Aż rozkosz będzie wypita!

... Słychać już w tonach znużenie,
Iskry wzajemnie się trawią;
Zwolna dziewczyno! płomienie
Chłód i popioły zostawią.
Zmień takt; mnie starca porusza
Zanadto twa dzika gra:
Patrz! włos mój siwy, a dusza,
Jak wypalona już skra...

... Miałem ja swoje dni złote —
Złoto z nich dawno się starło...
Miałem skrzydlatą tęsknotę,
Pragnienie, co naprzód parło;
Wzniosłe zadania i cele
Życie u moich stóp kładło,
Lecz wszystko, com miał w udziele,
Jak młodość zgasło i zbladło...

... O czemu grasz tak złowieszczo?
Tak mi jest straszno, boleśnie:
Te tony, jak śmierć mnie pieszczą,
To pogrzebowe są pieśnie!
Czas mi już szukać schronienia
Wśród szarych, spokojnych wzgórz
I usnąć snem zapomnienia...
— Dziewczyno, o nie graj już!

ŻYD, WIECZNY TUŁACZ.

Konały blaski ostatnie wieczoru —
Słońca już tylko rąbek lśnił czerwony,
A na błękitach siwego przestworu
Gwiazdy stawiały spiesznie złote trony.
Z dali po skibach ciemnego ugoru
Szedł ktoś, w mgłę białą cały otulony;
Szedł zwolna, ciężko, z twarzą zasłoniętą,
Z trudem posuwał naprzód postać zgiętą.

Czerwony rąbek słońca zniknął z nieba,
Księżyc półświatłem oblał niskie wzgórze,
Mglistą zasłoną okryła się gleba,
Lecz jasno było na czystym lazurze —
Nocy tak cudnej kochankom potrzeba,
W nocy tak jasnej całują się róże...
A tamten patrzał w takiej posępności,
Jakby róż nigdy nie znał, ni miłości.

Doszedł do wzgórza ociężałym krokiem,
Wdrapał się na nie po pochyłym stoku.
Z wierzchołka w koło spojrzał błędnem okiem,
Lecz nie, by serce ukąpać w widoku,
Który oblewał dolinę urokiem —
On błędne oczy utopił w obłoku,
Co nagle stanął nad nim, wielki, ciemny,
Jak wypędzony z piekieł duch podziemny.

Gdy tak stał zgięty, zdawał się tak mały,
Że od pagórka niewiele odstawał;
Dziwnie nieufnie gwiazdy nań patrzały
I księżyc przybladł, jakby go poznawał.
Lecz nagle zrobił sobą ruch zuchwały,
Sprostował członki — olbrzymem się zdawał,
Który stopami oparł się o wzgórze,
A głową ugrząsł w owej ciemnej chmurze.

Odsłonił twarz — i księżyc zbielał prawie:
To była twarz, jak z grobu wydobyta,
Choć siłę nosił w wyniosłej postawie
I moc go jakaś otaczała skryta —
Lecz wiatr ze wzgórza uciekł, jak w obawie:
To była twarz zgrzybiała i przeżyta;
Nie, jakby lata w niej sieć zmarszczek splotły,
Lecz jakby wieki przechodząc ją zgniotły.

Żadnej gry rysów, żadnego wyrazu,
Coby rozjaśniał ją, albo ocieniał:
W głębokich bruzdach była martwość głazu,

Który był lawą pierwej, nim skamieniał...
I ból rozpaczy taki, co odrazu
Duszę w człowieku w piekło męki zmieniał —
I tak stał długo z twarzą potępieńca
W chmurze, co miała kształt czarnego wieńca.

Stał długo niemy... Potem jęknął głucho,
A jęk był taki, jak trzeszczenie kości:
Jęku takiego jużby ludzkie ucho
Nie zapomniało w całej doczesności;
Ten jęk mógł potłuc, jak młot głowę kruchą,
Jak nóż w kawałki poszarpać wnętrzności:
To nie był jęk, co zwykłą boleść czuje,
Lecz zgrzyt, jak gdy się kość żywą piłuje.

...Co to za słowa wychodzą bezdźwięczne?
Z jakich strun duszy ta straszliwa nuta?
— Czy oblewają mnie blaski miesięczne,
Czy patrzy na mnie noc mgłami zasnuta,
Czy światłość ziemi zsyła słońce wdzięczne,
Czy płacze chmura piorunem rozpruta:
Ja bez przestanku od ziemi do ziemi
Wlokę się ciężko stopami krwawemi.

Okryty jestem spróchniałym całunem,
Na którym promyk słońca siąść się boi,
Serce mam zimne, jak lód pod biegunem,
Gdzie każdy oddech na słup zmarzły, stoi...
Najgorszej zguby, pomoru zwiastunem
Jest dech mej piersi, jest ślad stopy mojej:

Na niej przeklętej wyrył się znak krzyża...
Biada tym wszystkim, ku którym się zbliża!

Biada wam, dumne, wrzawy pełne miasta!
Dumę jęk zdławi, a rozpacz radości.
Próżno do łona przytula niewiasta
Swe niemowlęta, swoje szczęśliwości;
Bo grób za grobem z pod ziemi wyrasta,
Trumna za trumną łaknie waszych kości...
Z rydlami spieszcie budować cmentarze;
Panowie, biada wam! biada nędzarze!

O wsi! nie wesel się z pomyślnych zbiorów!
Nie będzie czasu zgotować z nich chleba.
Na pastwę ptakom wysypcie je z worów!
Wam kilka desek już tylko potrzeba
I kilku w ziemi wyrytych otworów
I trochę ziemi i litości nieba...
O wsi, nie wesel się z twojej krwawicy!
Biada wam! biada, spokojni rolnicy!

Bo oto idę pod krzyżem przeklęty
Żyd, wieczny tułacz. Ja wcielenie dżumy,
Z nieśmiertelnością na stopie rozciętej,
Wyższy nad ludzkie mózgowe rozumy!
Idę w spróchniały całun owinięty,
Idę owinąć nim tysiączne tłumy:
Ja byt przed śmiercią wszelaką bezpieczny;
Ja żyd przeklęty! Ja Żyd, Tułacz Wieczny....

Dwadzieścia wieków noszę krwawe znamię,
A nieść je będę aż do wieków końca:
Każdy się piorun o mnie w trzaski złamie,
Żadna mnie siła nie zwali niszcząca,
Bo przeznaczenia osłania mnie ramię;
Przekleństwo Boże, mój straszny obrońca,
Każe nad moją głową czasom płynąć,
Każe mi gubić, czuć śmierć, lecz nie ginąć.

Niszczę i czuję w sobie ból niszczenia:
Milion zburzonych szczęść we mnie wciąż płacze —
I czuję wszystkie zadane cierpienia
I wszystkie rany i wszystkie rozpacze
I konających ostatnie rzężenia
I modły, umrzeć mających, żebracze...
Lecz jestem w męce tej stokroć piekielnej,
Jak skamieniała rozpacz nieśmiertelny!

Próżnobym błagał o śmierć, lub o karę,
O wszystkie kary prócz tej, którą znoszę;
A przecież może chwil nieczucia parę
Starczyłoby mi za niebios rozkosze!
Lecz niebo na mnie straciło mąk miarę,
Przestało litość czuć, więc już nie proszę —
I chodzę nosząc na stopie przekleństwo
Gorszy niż piorun, ogień... niż szaleństwo!!

Gdzie twoje niebo błękitne, o nocy?
Gdzie twoje srebrne blaski, o księżycu?
Ustąpiłyście gwiazdy mojej mocy:

Spłoszył was wieków ślad na ludzkiem licu:
I stoję tutaj straszliwie sierocy — — —
Gdzie twoje serce, o wielki Rodzicu?
Czemu nie spytasz, ilu sprawiedliwych,
W tem, wnet... za chwilę, w tem mieście nieżywych?—

CMENTARZ.

MARNOŚĆ NAD MARNOŚCIAMI.

O idź, ty idź na cichy grób!
U jego chłodnych legnij stóp!
Na szarej ziemi lica złóż!
I białym kurzem głowę sprósz!
I jak on białemi wyszeptaj wargami:
Marność nad marnościami!

Tam czaszka leży; podnieś ją!
Może ta była siostrą twą,
Może kochaniem była twem,
Może twych marzeń duchem — snem...
A teraz próżnemi ócz szydzi jamami:
Marność nad marnościami!

Odepchnij precz i strach i wstręt,
Patrz długo na ten żółty sprzęt!
Aż na cię trupi oddech tchnie,
Aż twa istota z grozy drgnie,
Aż duszy wszystkimi wykrzykniesz głosami:
Marność nad marnościami!

A potem nazad na świat wróć!
Do myśli ludzkich, ludzkich czuć.
Ale nie zetrzesz tego już,
Co na twem czole mogił kurz
Wypisał szaremi, wiecznemi zgłoskami:
Marność nad marnościami!...

POGRZEB.

Noga za nogą, miarowo, powoli
Orszak się długi posuwa
W stronę cmentarza — ku tej smutnej roli,
Gdzie ciało, martwe resztki ludzkiej doli,
Jak te deski, wśród których śpi, nic nie odczuwa.

Powoli kroczy orszak pogrzebowy,
Czarny karawan na przedzie.
A z tyłu tłumu odsłonięte głowy,
Tłumu, co równo chętnie iść gotowy,
Czy go rydwan weselny, czy karawan wiedzie.

Czasem ponad tłum podnoszą się głosy
Jękliwe i monotonne:
Płyną ponad tłum w powietrze, w niebiosy
Może, a może w bezmierne chaosy — — —
Oto księża śpiewają modlitwy pozgonne.

Niekiedy jednak ustaje śpiewanie,
Jakby urwane w pół zwrotki:
Słychać wyraźniej znów tłumu stąpanie.
Niepewne świec woskowych migotanie
Pobłyska żółto; blask ten przy dniu dziwnie wiotki.

Niepewnie świece woskowe migoczą
Żółto i dziwnie znów blado,
A krople wosku, jak łzy z nich się toczą,
Jak łzy wyrwane niewidzialnym oczom,
Co swe smutne źrenice na umarłych kładą.

Zbliża się orszak ku furcie cmentarza:
Śpiew księży znów brzmieć poczyna.
Śpiew, który słowa jak towar odważa
I oprócz słów tych nic już nie wyraża,
Od którego powietrze w lód się może ścina.

O Ty! co leżysz tam samotny, cichy
W trumny żelaznym uścisku,
Ze wstrętem odwróć się od farsy lichej,
Co chce przebłagać bóstwo za twe grzechy
Pod warunkiem własnego haniebnego zysku.

O Ty! którego wieczność już udziałem,
Wieczność spokoju i smutku —
Wstrząśnij się, zadrżyj swojem martwem ciałem,
Nad tym kupionym, bezecnym chorałem,
Nad tą modlitwą bez echa, bez skutku.

Te łzy woskowe, co kapią i twardną
Czują więcej, niż te tłumy,
Co zdjęte ciekawością, nie żałością żadną,
Idą, by patrzeć, jak cię rzucą na dno
Grobu i rzucić prochu garść na wierzch twej trumny.

... Już przekroczone są bramy cmentarne
I orszak powoli zdąża
W stronę, zkąd widać wygłębienie czarne,
Grobu rozwartą paszcz, miejsce ofiarne,
Kres, w którym człowiek w niebyt się pogrąża.

Tłumne a łzawe mgły wstały z grobowców
I cicho orszak szły witać:
— Kogóż to znowu z znużonych wędrowców
Wyprowadzacie na drogę z manowców,
Wśród których błądził? — lecąc zdawały się pytać.

Nad grobem pieśni zabrzmiały na nowo,
A tłum się jął cisnąć i tłoczyć.
Każden chciał ujrzeć ciemną toń grobową,
Na wzdłuż wyrytą toń, sześciostopową,
W którą się trumna miała za chwilę potoczyć.

Spij Ty zmęczony! »Dies irae« woła
Czerń, w sukni kościelnych bieli.
Dzień gniewu głos ci zwiastuje kościoła,
Lecz tobie ból już nie pogryzie czoła,
Do ciebie przyszli cisi spokoju anieli

Śpij! śpij na wieki! nie lękaj się sądu...
Tam niema sądu ni kary;
Z wywrotną łódką przybiłeś do lądu,
Gdzie niema burzy, ni wstecznego prądu,
Gdzie wszechwładzą jest wieczność, królestwem
bezmiary.

MOGIŁA.

Nowa mogiła na żałobnej roli
Wykwitła, czarno wystając nad ziemię.
Pod nią spoczęły szczątki ludzkiej doli,
Której za ciężkie było życia brzemię...
O spij! Już życie tego nie zaboli,
Kto w takim, jak ty, spokoju tam drzemie.
Choć ziemia ciężka, tam tak lekko tobie —
Ani nie zmarzniesz, choć zimno w twym grobie.

Zwolna zapada wieczór. Szarą siatką
Zaczyna noc pokrywać ziemię senną.
Ciemność przeklęta dla grobów jest matką
Dobrą i tkliwą, w miłości niezmienną:
Codziennie tuli w swe miękkie objęcia
Cmentarz, jak głowę drogiego dziecięcia —
. . . .

SZALENIEC.

Tłum się już dawno rozprószył do domu —
Cmentarz już noc zaległa.
Na tło błękitne górnego ogromu
Gwiazda za gwiazdą biegła.
Księżyc o bladej i okrągłej twarzy
Po niebie chodzi, spogląda i marzy.

Na świeżym grobie jakiś człowiek szlochał
Bez łez. Pierś głucho dyszała...
Wszystko, co uczcił, wszystko, co ukochał
Ta mu mogiła zabrała.
I ciemniej było w jego biednej duszy
Niż tam, gdzie siedział — niż w tych grobów głuszy.

Gdy księżyc spojrzał, blady był i siny,
A drżał, jak wierzby tej liście,
Która dla jakiejś ciężkiej pewnie winy
Skazana płakać wieczyście —

Tak drżał ten człowiek, a nad nim wysoko
Noc przymrużała swe gwiaździste oko.

Głowę przykładał do ziemi wilgotnej,
W objęcia mogiłę chwytał
I długo leżał niemy i samotny —
A czasem szał go ogarniał zawrotny,
Stękał lub rozpacznie zgrzytał;
Zaciskał dłonie, albo łamał palce,
W strasznej z katuszą i rozpaczą walce.

Patrzała na to noc cicha, głęboka —
Patrzała smętność cmentarza
I księżyc patrzał z współczuciem z wysoka
Na pierś rozdartą nędzarza.
Na boleść, która ztamtąd się sączyła,
Jak uchodząca krew — życie niszczyła.

A wierzba, trzęsąc wiecznie smutne liście,
Szumiała dziwnie boleśnie,
Albo wiatr leciał i w długim poświście
Jękliwe wlókł z sobą pieśnie.
A człowiek płakał bez łez, całą duszą,
Jak płaczą ci, co rozpacz w sobie głuszą.

Wtem, jakby pękła w nim struna napięta,
Sycząc, zawołał w noc głuchą:
— Na tę pierś moją, co krwią przesiąknięta,
Na tę źrenicę mą suchą,

Na ból nad bole, na mękę nad męki,
Na kurcz śmiertelny, co krzywi me szczęki,

Na twoje jasne, czerwone pioruny,
Co ślepe kruszą bezkarnie,
Na białe mojej umarłej całuny,
Na serc niewinnych męczarnie —
Pytam się ciebie ja. człowiek znikomy,
Pytam się ciebie ja, robak poziomy:

Czemuś mi wziął ją?! Ha! nie odpowiadasz,
Milczą przeklęte lazury...
Milczy gwiaździsta toń, którą ty władasz
Władco ponury!
Tylko ta wierzba trzęsie się i płacze,
Tylko mgły tuman nad grobami skacze. —

Znowu zanurzył twarz w ziemię mogilną
I łkał straszliwie i sucho
I trząsł się całą postacią bezsilną,
Palcami ziemię darł kruchą...
Wierzba zatrzęsła wiecznie smutne liście
I wiatr przeleciał w jękliwym poświście.

— Już spisz mój złoty śnie,
Na wieki w ziemi spisz,
Na chłodnym grobu dnie
I drżysz...

Umarłaś?! Kto to powiedział? Ty żyjesz!
Wszak czują cię me objęcia,
Wstydliwie główkę na piersiach mych kryjesz,
Blizka uśnięcia.
Wszak czuję miękkie, rozkoszne twe ciało,
Co tyle razy pod pieszczotą drżało.

...Lecz czemuś zimna dziś jak lód?
Czy już nie kochasz mnie?
Ty moje wszystko, ty mój cud!
Ty mój złoty śnie!

. . . .

Przebóg! wstrząsa mną mróz,
Coś leci z pod mych stóp...
Co to jest? — to gruz!!
To grób!!!

To grób! Więc prawdą to, żeś ty umarła —
O beznadziejna boleści!
Zgon przyszedł, skinął, tyś się mnie zaparła,
Zgon, jak kochanek cię zabrał i pieści.
Wszystkie twe wdzięki powoli rozkłada:
Ty leżysz milcząc bezduszna i blada...

Ty, coś przysięgła moją być na wieki —
Gdzieżeś podziała tę miłość ogromną?
Zgon wetknął ciemność pod twoje powieki
I zrobił cię wiarołomną.

Robactwo teraz twoje ciało plami,
A ja bezsilny, bo śmierć między nami. —

Szaleństwem jęły mu pałać źrenice,
Włos targał, suknię na piersiach rozdzierał.
Wstawał, to znowu w grób zanurzał lice,
Na długo, długo... dech w sobie zapierał;
Chciał umrzeć, nie czuć, ale czuł i szalał,
Choć łańcuch pojęć rwał się w nim i malał.

Jakieś straszliwie dzikie narzekania
Z piersi, miast strugi łez z ócz, mu się lały.
I czasem miały dźwięk rzewnego łkania,
A czasem trzaski kruszącej się skały,
Bo, im gmach szczęścia wznosi się wspanialej,
Tem się okropniej pod piorunem wali.

— Gdzieżeś ty poszła? — jęczał nieszczęśliwy —
W jakie otchłanie?
Co się tu ze mną, gdy zostanę żywy,
Bez ciebie stanie!?

Poszłaś odemnie,
Poszłaś okrutna
W zaświatów dal —
A we mnie ciemnie,
Ma dusza smutna,
A we mnie żal...

Ponury władco nocy,
Dokąd porwałeś ją?
Czyż godne to twej mocy,
Żeś mi pierś zalał krwią?

...Ty moja gwiazdo dzienna,
Ty mój słoneczny dniu!
Czy wiecznie cicha i senna
Będziesz spoczywać tu?
Czyś ty naprawdę umarła?! —

Nagle z mogiły wykwitły sinawe
Płomyki i drżąc w powietrzu pływały;
Samotnik zadrgał, patrząc w straszną jawę,
A potem stanął dziki, osłupiały
I patrzał wielkim, obłąkanym wzrokiem
Na tè światełka nad mogilnym mrokiem.

Coraz liczniejsze szły, błyskając rojnie,
Lub skacząc dziwnie rozpaczliwym tańcem...
Księżyc się zaczął kręcić niespokojnie
Wreszcie za chmurą skrył się, jak za szańcem.
Z pod ziemi nowy słup świateł wytrysnął,
Samotnik ręce podniósł, skronie ścisnął...

Potem je odjął i oczy zasłonił
I wstecz się począł cofać wolnym krokiem,
Jakby się przed czemś strasznem w ciemność chronił.
Lecz nadmiar wrażeń szalonym natłokiem
Parł mu na mózg...

Wśród grobowców wieńca
Rozległ się nagle ostry śmiech szaleńca.

Śmiech, w którym śmiechu nie było. Ten lament
Mózgu i serca, duszy i myślenia —
Wszystko zmieszane w jeden dziki zamęt:
Uczuć bez czucia, jęków bez cierpienia.
. . Tak śmiał się człowiek ów, nie, obłąkaniec,
Patrząc w ogników sinych błędny taniec.

— Ha! ha! ha! — śmiał się — ludzie płaczą,
A my na gwiazdach marzymy oboje.
Przed nami słońca złote skaczą
I świateł nas zlewają zdroje.

Wśród tej kąpieli
My, jak anieli
Płyniemy w raj.
Na gwiazdach, jak na łódkach, płyniemy w raj...
O ty ma gwiazdo nad gwiazdy i słońca,
O ty me szczęście bez końca!
Ha! ha! ha! płyniemy w raj...

BŁĘDNY OGNIK.

I.

Z błotnego wstaje legowiska,
Światełka postać przybiera;
Krąży na okół, skacze, błyska,
Chytrze w ciemności spoziera.

To tu jest... Już tam... Niespokojny!
Jasny, to żółty, to siny:
Lata, chytrością straszną zbrojny,
Nad falą błotnej głębiny.

Dokoła pusto — noc i cisza:
I ziemia milczy i niebo;
Noc, jak ogromna ćma się zwiesza
Nizko i ciężko nad glebą...

I nic nie słychać. To milczenie
Dudni i świszczy aż w uchu.
Miasto gwiazd sino-żółto drżenie:
Ruch błędny w wielkim bezruchu,

Czyli to gwiazda, co z kolei
Swej pchnięta, błądząc, migoce? —
A może widmo bez nadziei
Ciche przeraża tam noce.

I wabiąc światłem, daje ciemność,
Zdając się gwiazdą, jest marą,
Zwodząc nadzieją, pcha w daremność —
I tańczy nad błot ofiarą.

II.

Wszędzie, gdzie błoto, takie ognie błędne
Migają przed oczyma.
I często kroki wpadają zapędne
W dół, gdzie prócz błot nic niema.
A gdy raz noga w te groby zapadnie,
Daremnie chcieć uciekać:
Ciało i wola już musi bezwładnie
Na zgubę, na śmierć czekać.
Cuchnące błoto coraz wyżej sięga,
Ty coraz niżej w głębi
I wciąż się ściślej błoto z tobą sprzęga,
Wciąż bardziej chłonie i ziębi.
Na rękach masz je, na piersi, na twarzy,
Do oczu, gardła wchodzi,
A błędny ognik, jak duch zguby wraży
Nad tobą tan zawodzi...

III.

Jak wraży duch
Błędny ognik skacze;
Jego niemy ruch,
Jak kruk zgubę kracze.

Pod nim toń czarna,
Nieruchoma, senna,
Samotna, bezgwarna —
Bezdenna...

Hej! strzeż się, strzeż!
Blady podróżniku;
Hej! strzeż się, strzeż!
Bo śmierć w tym ogniku.

Hej! skręć z tej drogi!
Bo tu śmierć czeka —
Lepsze rozłogi,
Lepsza błoń daleka,
Lepsza ciemnica,
Lepsze błądzenie,
Niż tamto błyszczenie,
Co, jak gromnica
Śmierć zapowiada.

Ni grom tam nie spada,
Ani grozi miecz,
Lecz czatuje zdrada
Precz! ztamtąd, precz!

Hej! strzeż się, strzeż!
Blady podróżniku;
Hej! strzeż się, strzeż!
Tam śmierć w tym ogniku.

Pod nim toń czarna
Nieruchoma, senna,
Samotna, bezgwarna —
Bezdenna!...

DEKADENCI.

SONETY.

I.

Gra mi Bóg w duszy, Bóg bolesnej lutni —
Każda jej struna, jak boleść rozpięta
Drży zaraz, ruchem najlżejszym dotknięta,
Coraz posępniej, rozpaczliwiej, smutniej...

Ze sobą samym w ciągłej jestem kłótni:
Harmonia we mnie wszystko inne pęta,
Woli nie słucha, świata nie pamięta,
Gdy Bóg jej przyjdzie, tknie ją i rozsmutni.

Czemże Ty jesteś, samowładny Boże!
Coś krwią namazał mojej lutni struny
Nigdy nie schnącą, czerwoną, wilgotną?

Czyżbyś Ty w swoim bezkreśnym przestworze,
Gdzie w nieskończoność przechodzą bieguny,
Równie, jak ja, był istotą samotną?...

II.

Potrącasz struny wiecznie smutnej liry
I słuchasz chciwie dźwięczeń nieokreślnych:
Czasem nadludzko tkliwych i bolesnych
Czasem posępnych, jak grające wiry —

I wchłaniasz w siebie ten ból, jak krew szczery,
Chociaż ze źródeł skrytych i bezkreśnych...
Ból niepodobny żadnemu z rówieśnych,
Jak niepodobne łachmany i kiry.

Ten smutek, który przesyca powietrze
I kładzie na nie mgieł szaty śmiertelne
I stroi w perły łez wschodzące zorze...

Smutek, którego ze łzą się nie zetrze,
Ani go stłumią wysiłki weselne:
To twoja mowa wielki, smutny Boże — —

III.

To twoja mowa, choć sam niemy, blady
Warg nie poruszysz, nie wzniesiesz powieki:
W otrętwiałości idziesz po przez wieki,
W duszach i mózgach ryjąc dziwne ślady —

Wyrwani z granic cieśni i opieki,
Zbawieni ziemskiej podpory i rady,
Mózgi strawiwszy, serca szlą na zwiady
W świat, nad najwyższą myśl, bardziej daleki.

Każdym łącznikiem serce się opiera;
Żyłkę po żyłce trzeba przerwać pierwej,
Zanim ostatnia rwąc się, je uwolni.

Potem do uczuć zwykłych już niezdolni,
Rozpłomienioną myśl kładą na nerwy
I syk palenia z łon im się wydziera...

IV.

W piersiach powstaje próżnia pełna swądu,
Co gryząc, oczy mgłą obleka mętną,
Źrenicę czyni szarą, beznamiętną,
A rozum miejscem szału i bezrządu.

Ptak, który niema drzewa ani lądu,
Gdzieby uciszyć mógł zmęczone tętno,
Stokroć szczęśliwszy, niż ci, którym piętno
— Nadmyśl — rozbiło cieśń ludzkiego sądu.

— Nadmyśl — to smutek, żal Boga tajemny
Boga większego, niż ów Bóg kościelny,
Co zabobonność ubiera w ornaty

Bezwymiarowy żal i niepojemny,
Co zwolna składa byt w urnie popielnej
I chaotycznych mgieł strząsa nań kwiaty...

V.

Samotność, nędza, szczękanie boleści,
Cele bezsilne i siły bezcelne,
Grobowe hymny i pieśni weselne
Tworzą rozdziały ponurej powieści.

Jak kiedy wicher drzewa rozszeleści,
Strząsając razem gałązki rozdzielne,
Tak wichr tworzenia wszystko, co śmiertelne
Zmięszał i razem sprzągł w istnienia treści.

A w mieszaninie tej, bezładnej, dzikiej:
Uczuć i pragnień, cnót, szyderstw i zbrodni,
Bezmyślnych wierzeń, ślepych namiętności

Poczyna braknąć już siły przewodniej — —
Gasną i gasną ostatnie promyki
I byt stygnący przyzywa nicości.

VI.

Na śmierć strudzony świat pragnie spocznienia;
Zwolna ku piersiom głowę skłania senną
I czuje blednąc martwotę kamienną
Dokoło serca starego istnienia.

I patrzy w stanie, jakby objawienia
W szczelinę trumien wązką a bezdenną,
Gdzie wszechświat ludzki pustce składa lenno
I w zamęt mgławych pierwiastków się zmienia.

Starcze, dość tobie życia! W popróchniałej
Piersi konania zgrzyty masz i świsty,
W głowie gorączki wizye i majaki...

Czas ci już wpłynąć, o bycie zgrzybiały
W ocean próżni głuchy, przepaścisty,
Na mleczne drogi i mgławiczne szlaki —

VII.

Z raną głęboko na piersiach wyciętą,
Co zdala krwawym świeciła stygmatem,
Drożyną życia spękaną i krętą
Biegł smutny człowiek za szczęściem skrzydlatem.

Biegł dniem i nocą, biegł zimą i latem,
Ślady po drodze ranną znacząc piętą:
W dzikiem pragnieniu za paproci kwiatem
W strasznej tęsknocie za gwiazdą zaklętą.

Biegł, aż się chwycił za pierś skaleczoną,
Brakiem oddechu i siły zamkniętą...
I czuł, jak zmysły w nim powoli toną

W pustkę przejrzystą i nieogarniętą,
W ocean szary, gdzie pośród mgieł kroci
Pływał, jak gwiazda jasny kwiat paproci.

VIII.

Nam się świt życia, jak gromnica jarzy
W dusznej od ciała rozkładu izdebce.
W co my wierzymy? my, co już w kolebce
Smutni jesteśmy, złamani i starzy.

Nad nami miłość tkliwe słowa szepce
I przyszłość naszą trwożnem sercem waży,
A w nas coś kwili, żali się i skarży
Na to istnienie, co samo się depce.

I wychodzimy na świat drżąco, chwiejnie
Chcemy oddechać — dusi nas powietrze...
Chcemy się cieszyć — śmiech nam więznie w gardle.

Czem my jesteśmy, my istoty karle?
Czem owo słońce, które coraz bledsze,
Patrzy w świat równie, jak my, beznadziejnie?...

IX.

Z nas szydzą, źeśmy z jakichś niby szczytów
Runęli na dół i złamali skrzydła,
A teraz w niemoc ujęci, jak w sidła,
Leżymy pełni przekleństw, skarg i zgrzytów —

Bo nam za mało tych złudnych błękitów,
Co lazurowe tworzą malowidła,
Bo ciemna wiara ślepców nam obrzydła
I przepowiednie fałszywych wróżbitów.

Wam nie rozedrze serca narzekanie,
Fatalność bytu wam piersi nie stłoczy,
Bo jej odczuwać nie jesteście w stanie —

My karły, ślepe, ludzkie wznosim oczy
Nadludzko smutne, ku wielkiej Nirwanie,
Co wszystko zamknie w bezdennej pomroczy.

BRAK CELU.

Szukałem cię po wszystkich drogach,
Jak Arab kropli wody spragniony.
Po cierniach wlokłem się i głogach
Wciąż bardziej słaby, bardziej stęskniony;
Szukałem cię we wiatrów szumie,
W szelestach krzewów na pół uschniętych
I w cichej myśli mej zadumie
I w smutku kwiatów mych powiędniętych.
I nigdzie znaleść cię nie mogę...
Gdzieżeś, ty gwiazdo wielka, gdzie?
Gdzie cię mam szukać, wskaż mi drogę,
O choć na krótko zjaw mi się!

Chociaż mą mową teraz skarga,
Choć się pot z myśli znużonych leje,
Choć się ma wiara w brudach szarga
I serce więdnie i dusza mdleje —
Nie jestem przecie niedołężny
Tylko zmęczony próżną podróżą,
Bo siły brakło mi odprężnej
Przedtem, co burzy, a nie jest burzą...

Przed ową pustą daremnością,
Przed tym cmentarzem samych mar,
Przed chwytającą mnie nicością:
Polem bez celów i bez miar —

Zaszedłem w drodze tak daleko,
Teraz na pustym stoję obszarze;
Sam sobie muszę być opieką,
Sam sobie sterem w owym bezmiarze,
Gdzie w dróg bez liku jedna tonie,
Jak ziarnko piasku w piaskowej ławie,
Jak kropla wody w morskiem łonie,
Jak głos człowieka w narodów wrzawie.
Zaszedłem tu i stoję blady,
Nie mogę wracać, ni iść wprzód:
Myślom mym brakło wszelkiej rady,
Kroki me związał ból i trud — —

Dawniej, gdy jeszcze miałem siły,
Siły stalowe, twarde i giętkie,
Gdy mocne w żyłach pulsa biły,
A myśli gnały, jak wichry prędkie —
Szedłem na oślep, bez bojaźni;
Dałem się pieścić pięknym zamysłom,
Porywać bujnej wyobraźni,
Grać dźwięcznym nerwom i poić zmysłom.
Dałem unosić się młodości,
Jak fali pełnej szumnych pian
I chętnie z stromych wysokości
Patrzyłem w dzikich wirów tan.

Coraz mnie górniej fala niosła,
Aż mi zaczęło się mącić w głowie;
Więc z woli chciałem zrobić wiosła,
By w rwących wirów nie upaść mrowie.
Aby się nazbyt nie oddalić
Chciałem wznieść tamę. Prądy ją parły,
Myśli, jak gromy jęły walić,
Aż ją zmiażdżyły, aż ją w proch starły!
A potem pędem meteoru,
Co się z niebieskich urwał brył,
Leciałem błędnie, bez oporu,
Bez woli, wiary i bez sił...

Teraz tu stoję, celu krzyczę,
Aby odświeżyć siły zmęczone;
By z białych kurzów zmyć oblicze
I podnieść z ziemi myśli zemdlone.
Celu i drogi na bezdrożu,
Bo zginę wśród tych spalonych głazów,
Utonę w suchych piasków morzu,
Jak jęk w katuszy bez wyrazów!
... Czemu tu taka dzika cisza?
Czy tu skończony może byt? —
Czemu tu taka noc się zwiesza?
Czy tu nie wschodzi nigdy świt??...

... Szukałem cię po wszystkich drogach,
Jak ptak zziębnięty ciepłego gniazda;
Po przez przepaście, po rozłogach
Wichrowa myśli niosła mnie jazda.

Szukałem cię i na błękitach
I w piersiach ziemi i na dnie piekła;
Po niedostępnych myśli szczytach
Szaleństwa mego siła mnie wlekła...
Aż mnie rzuciła bezwładnego,
Wyssawszy ze mnie resztki tchu,
Na bezkres piasku jałowego,
Gdzie wieczna noc, lecz noc... bez snu.

Czemu, choć stoję, nie spoczywam?
Czyli powietrze tu jest rozpaczą —?
Czemu choć krzykiem krtań rozrywam,
Czemu, choć kruki mi nie odkraczą?!..
To nie jest cisza, to jest głusza;
Ja tu własnego głosu nie słyszę:
Tego powietrza dźwięk nie wzrusza,
W niem się głos falą nie zakołysze.
Tu chaos... W nim ja jeden żywy,
Choć głowa trupa, oczy w słup:
Jeszcze cielesnej część pokrywy
Drga — zresztą wszystko, wszystko trup!

Celu!! Naprożno tu w chaosie — —
Ten ze mnie atom rwie za atomem;
Jestem, jak jedno drobne kłosie
Pomiędzy mnóstwem ptaków łakomem.
Nie czuję bolu, lecz szarpanie
Na każdem miejscu, we wszystkie strony,
Spójni powolne ubywanie —
Nie cierpię, alem na śmierć znużony!

Myśl ma się ślizga, jak po ślizkiem
Szkle, lecz nie wgłębia się już w nic;
Krew nie zapali oka błyskiem,
Jak ołów w żyłach zda się wlèc.

Ktoby mnie nazwał nieszczęśliwym?
Moja katusza jest już bez bolu,
Moja istota rozkładem żywym
Na owem szarem, olbrzymiem polu.
Myślę, że dałbym krajać ciało,
A nicbym nie czuł może prócz czczości;
Że choćby ostrze mózg zszarpało,
Nie czułbym większej nad tę nicości...
To nie ból, co jak grom zabija,
— Gdyby grom taki zabił mnie! —
To czucie drewna, co się zwija,
Gdy je nóż bardzo tępy tnie.

... Żebrałem cię po wszystkich drogach,
Jak głodny żebrak o parę groszy;
Szukałem cię na wszystkich progach:
Na progach wiary, wiedzy, rozkoszy.
Patrzałem, jak me myśli mdlały,
Płakałem na mych marzeń pogrzebie,
Czułem, jak bole me martwiały...
O już mi teraz nie szukać ciebie!
Jestem, jak węgiel wypalony,
W którym ostatni płomyk zgasł;
Jestem przeżyty, przetrawiony,
Zwietrzały, jak przydrożny głaz...

… Byłem! — nie jestem już człowiekiem,
Ale dziwacznem jakiemś widziadłem,
Mój człowiek jest czemś tak dalekiem…
Czemś zatraconem, obcem, przepadłem!
Czym kogo kochał? nie pamiętam —
Czym nienawidził? to strasznie stare…
Wspomnień tych myślą mdłą nie spętam,
Biegną przedemną mgliste i szare.
I wszędzie szarość, pustka wszędzie:
Wciska się w wszystkie ruin szczeliny;
Jakiś olbrzymi pająk przędzie
W mej głowie kłęby tej pajęczyny.
Niechże mi kto czaszkę podniesie,
Tego pająka weźmie precz!
Może przy samym bytu kresie
Będę mógł raz choć spojrzeć wstecz — —

Bytu…? To nie byt; byt się skończył
Tak dawno. Jednak pierś ma oddycha:
Krzew, który soki swe wysączył,
Uwiędnął naprzód, teraz usycha.
Schnąć? Taka nuda… Gdybym tyle
Choć sił mógł znaleść w próżnej skorupie,
Aby przyspieszyć końca chwilę!
Może choć resztki wysiłkiem skupię…
… Nie mogę!! Śmierć się ze mną droczy:
Ciągnie, a strachem wstrząsa mię.
Niech mi kto przyjdzie przymknąć oczy:
Ja już bez sił — a umrzeć chcę…

WIOSNA. KWIATY.

Po szarych dniach,
Po ciężkich mgłach
Przychodzi złote słońce:
Po szarej mgle,
Promyki szle
Świetliste i gorące.
Po ciężkich snach,
Po długich łzach
Przychodzi jasna radość:
Ociera łzy,
Wytęcza sny,
Różowi liców bladość.

FIOŁEK.

Ulubione, upieszczone
Wiosny dziecię,
W traw objęciu utulone
Fiołka kwiecie...!
Inne kwiaty pyszne szaty
W słońcu złocą.
Wystawiają strój bogaty
Lśnią , migocą.
Ty się trwożnie i ostrożnie
Kryjesz w trawie
I z ukrycia patrzysz zbożnie
Tęsknie, łzawie
Na świat hoży, piękny, Boży
W blaskach słonka —
Lub wsłuchujesz się w szept zorzy,
W pieśń skowronka.
Ulubione, upieszczone
Wiosny dziecię,
W traw objęciu utulone
Fiołka kwiecie!..

Trawek grono cię zieloną
Piersią chroni,
Gdy wietrzyki chłodne wioną
Po ustroni.
Wiatr szeleści, trawkę pieści
Trawka słucha...
Potem szepce dobre wieści
Ci do ucha.
Fiołku tkliwy, tyś szczęśliwy
Tam w swej trawie,
Tam wśród cichej, polnej niwy
Śniąc na jawie.
Wrażeń fala, jakże zdala
Cię omija!
Żar ci duszy nie wypala,
Nie zabija!
Wiosna kwiatki, skromne płatki
Twe otwiera,
A gdy idzie z sercem matki
Cię zabiera.
Ulubione, upieszczone,
Wiosny dziecię,
W traw objęciu utulone
Fiołka kwiecie!...

RÓŻA.

Taka namiętna, wiecznie spragniona
Miłości,
Kwitnie i żarem wrzącego łona
Zarumieniona, to rozmarzona
Ptakom swobody zazdrości.

Dygocze cała pod chłodem rosy
Perlistej.
Chciałaby chciała lecieć w niebiosy,
Możeby chciała wpłynąć w chaosy,
Rozkoszy użyć wieczystej.

I pragnie ciągle i pragnie wiecznie
Pieszczoty:
Tulić się, kochać, kochać serdecznie,
A tak nadziemsko, tak nadpowietrznie
Boleścią dzikiej tęsknoty — —

Gdy czasem motyl przypłynie złoty,
A jasny:
Róża się stroi w wszystkie zaloty
I kwiecia swego rozpina sploty,
Odsłania piersi wdzięk krasnej

A motyl słysząc piosnkę słowiczą,
Zalotną,
Rzuca się na pierś róży dziewiczą,
Ssie ją, upaja się jej słodyczą
I rozkosz chłonie wilgotną...

Potem osłabły i obłąkany
Ulata —
A róża stula z całunków rany,
Przysłania nagość piersi pijanej
I znowu tęskni do świata.

A gdy rozkoszą już się przesili
Usycha.
Wtedy rój całych złotych motyli
Krąży po nad nią i zcicha kwili,
Krąży po nad nią i wzdycha...

BŁAWATEK.

Jak pośród morza, wśród łanów zboża
Kwitniesz bławatku.
Postać twa drobna a taka hoża,
Niebieski kwiatku!
Takie te twoje błękitne stroje,
Takie urocze,
Jakby ci barwy oddało swoje,
Modre przeźrocze.
A ty znów łany stroisz kochany
Błękitny kwiatku,
Kolebką złotą zbóż kołysany
Do snu, bławatku —
We śnie w marzeniu i upieszczeniu
Pól naszych dziecię
I w zbóż stęsknionych przepięknem pieniu
Schodzi ci życie.
Czasem dziewczyna, wiejska malina
Idąc wśród kłosów,
Zrywa cię, pieści, pieszcząc przypina
Do jasnych włosów.

. . . .

Jesienią bladą zboża się kładą,
Sierpami cięte,
A z niemi kwiatki, modre bławatki
Smutne pomięte...

NIEZAPOMINAJKA.

Kwiatku pamięci niebieski,
Czemuś tak łzawy?
W twych oczach błyskają łezki,
W około wilgotne trawy;
Czyś płakał może?
Za czem tak tęsknie wyglądasz,
Niebieski kwiatku?
Czy więcej słońca pożądasz?
Czy może w twym szczupłym światku
Za chłodne łoże?
Nie pragnij kwiatku, nie pragnij
Niczego więcej!
Ku wodom głowinkę nagnij:
Tam czarów tyle tysięcy
Tam piękna tyle.
Tam blask się słonka odbija,
Blask, co nie pali.
Owadów rój się uwija
Nad szybą świetlanej fali,
W pogodną chwilę.

Tam rybek gromadka pląsa
Wesoła, żwawa.
Wiaterek lekko się dąsa,
Z nim wodna kłóci się trawa,
A trzcina szumi.
Tam lilie twoje siostrzyce
Patrzą w jezioro.
U stóp ich modre krynice
Szeleszcząc, płyną z pokorą —
Wiatr szelest tłumi.
Tam nimfa znów srebrnołuska
Wyjrzała z toni:
Przez chwilę w falach się pluska,
Potem przed lilią się skłoni
I ginie w głębi.
I pocałunków namiętnych
Słodki szmer słychać.
Przestaje szeptów wiatr smętnych,
Wszystko się zdaje ucichać
W spokój gołębi...
Szczęście i spokój dokoła
Masz, ty niebieski...
I pościel z wonnego zioła;
Więc czemu w oku masz łezki,
W postaci smutek bezwiedny?
Ach, kwiatku, boś ty skazany
Na pamięć wieczną...
I ból pamiętasz i rany
I ludzką troskę serdeczną —
Biedny ty, biedny!..

CHATKA.

Dobra wiosna zawitała —
Czuć woń, słychać śpiew...
Stoi chatka skromna, mała
Wśród zielonych drzew.
Szumią drzewa, chatka marzy,
Śni cudowny sen,
Nie dolata ją krzyk wraży
Hałaśliwych scen.
Gdzieś tam krzyczą, gdzieś się roi
Rozhukany tłum —
Chatka mała, cicha stoi
Zasłuchana w szum.
Kwiecie drzewa pookrywa,
Chatka duma w śnie:
A wiatr chodzi, kwiatki zrywa
Stroi chatkę w nie.
Więc wygląda owinięta
W kwiecia miękki puch,
Cała biało uśmiechnięta,
Jak uroczy duch.

U stóp chatki strumyk pląsa
  Po kamykach pstrych,
Sznurem wodnych pereł wstrząsa,
  Taki dumny z nich!..
Płynie strumyk i szeleści
  Szmerem płynnych szyb
I kochankę chatkę pieści
  Srebrną skrzelą ryb.
Ta niezważa na pieszczoty
  Rozmarzonych fal,
Więc rozwija strumyk sploty,
  Smutny idzie w dal.
Stoi chatka, stoi słucha:
  Słyszy odgłos łez,
Słyszy — woła skarga głucha:
  — Gdzie koniec, gdzie kres? —
To tak strumyk tęskny płacze,
  To tak wzdycha żal:
— Życie muszę wieść tułacze
  Ciągle płynąć w dal,
W tę dal mroczną niezmierzoną...
  A mnie serce rwie
Za mą wioską ulubioną,
  Gdzie tak ciche dnie.
Gdzie jest łąka, gdzie są kwiatki
  I zbożowy łan...
Żal mi wioski, łąki, chatki
  I jej białych ścian.
Żal mi kwiatów rozpachnionych
  I wysmukłych traw,

Żal mi dębów zapatrzonych
W zielonawy staw —
Umilkł strumyk, płynie dalej
Chatka nie wie, gdzie...
Żal jej jakoś, żal tej fali,
Co w obczyznę mknie.
Aż wiatr przyszedł i zcałował
Z smutku białą skroń,
Do snu wonią upiastował
Pozbieraną z błoń.
O strumyku zapomniała
Tak spokojnie spi...
Stoi chatka, stoi biała
I o szczęściu śni —

GDY CI UCZUCIE...

Gdy ci uczucie tęsknej boleści
Serce przenika:
Moja piosenka, niech cię upieści
Śpiewem słowika!

Moja piosenka, niech ci rozkoszą
Będzie choć chwilę;
Tym słodkim pyłkiem, co go roznoszą
Barwne motyle.

Moja piosenka, niech ci otworzy
Raje ułudy;
Niech ci choć myślą porannej zorzy
Da ujrzeć cudy.

A może kiedyś, gdy pieśń ma skona
W pustynnej ciszy:
Twa dusza czarów dawnych spragniona,
Echo dosłyszy —

NA WIOSNĘ.

O czemu nikną te błogie chwile
Tak niepowrotne?
Krótkie, jak owo życie motyle
Barwne, zalotne...
Patrz, jak te cudne powietrza kwiaty
Igrają w słonku — — —
Biedny, ty biedny kwiecie skrzydlaty
Złotego dzionku!...
Lecz nie! wszak myśli nie wiedzą twoje
Rozkoszą senne,
Że z ciebie zedrą królewskie stroje
Chmury jesienne.
I tobie może być szczęściem chwila
Choć krótka, marna:
Przed tobą nigdy się rozchyla
Zasłona czarna.
Dla nas nie może chwila szczęśliwa
Być niepodzielną,
Bo się z jej głębi boleść odzywa
Raną śmiertelną.

W zachwytach szczęścia i w upojenia
Słodkiej godzinie,
Słyszymy groźbę, jak głos sumienia:
— To wszystko minie...
Szczęsny motylu! nie wiedzą twoje
Myśli wiosenne,
Że z ciebie zedrą królewskie stroje
Słoty jesienne.

SERCE.

Serce człowiecze podobne do lutni —
Radość, czy boleść zawsze z nami dzieli:
W smutne uderza struny, gdyśmy smutni,
Gdyśmy szczęśliwi, z nami się weseli.
Szczęśliwi, którzy umią je nastroić
I zgodne tony z strun wydobyć zgodnych,
Bo mogą wieczną harmonią się poić
W akordach pełnych, czystych, niezawodnych.
Lecz kto przeciągnął zbyt struny serdeczne
Za punkt, gdzie znika już ich rozciągliwość,
Ten wnet usłyszy zgrzyt i tony sprzeczne —
Chybioną nutę i stłumioną żywość.
Człowiek przestaje być swych uczuć panem,
Syczą i brzęczą już pod jego dłonią:
Serce popsutym stało się organem,
A życie — wszystkich dźwięków dysharmonią...

W PAMIĘTNIKU MARYI IDZ.......

Gdy w jednej stronie zajdzie słońce, z drugiej
Zaraz różowe i złote znów świta —
Z pod łez serdecznych piekącej strugi,
Tęcza wykwita.

Każden ból kres ma i pewne granice,
Jakby kajdany smutkom losy kładą —
U źródła męki wiary krynice
Biją kaskadą.

Jedna myśl drugą powoli zaciera,
Jedno wrażenie drugie w tył popycha —
Dusza wierząca, dobra i szczera
To przystań cicha...

PIOSNKA.

Jak to dobrze umieć marzyć,
Z westchnieniami duchów gwarzyć,
Ciałem przestać żyć.
Jak to dobrze w śnie utonąć,
Ciszę chłonąć, spokój chłonąć,
W bezmiarach się kryć.
Cóż lepszego nad los taki?
Lecieć, gdzie nie lecą ptaki
I nie dojdzie świt;
Gdzie nie schodzi słońce z nieba,
Gdzie świat inny, inna gleba
I szczęśliwszy byt.
Za czas krótki tego raju,
Za dzień jeden tego maju
Tego słońca błysk —
Można oddać sławę, chwałę,
Można oddać życie całe.
Cały szczęścia zysk.
Ten lot śmiały, ten sen krótki
Leje balsam w ziemskie smutki
I w otwory ran —

I z łachmanów tka purpurę
I z nizkości wiedzie w górę
W blask złoconych ścian.
Inna wielkość, marna chwała,
Bo ogromnie drobna, mała
Jej wewnętrzna treść —
Tamtej nie tknie moc zniszczenia,
Bo jej treścią Znicz natchnienia,
Więc jej hołd i cześć!

PIOSNKA.

Ja ci będę śpiewał zwrotki
Takie słodkie, takie rzewne,
Takie białe, jak stokrotki,
Jak ptaszyna także śpiewne.
Chcę być piosnką twego życia,
Tonem duszy, serca głosem,
Taktem, skalą jego bicia —
Twoją dolą, twoim losem.
Droga! droga! jak tu wierzyć
W takie szczęście, zachwycenie,
Co mi przyszło pierś odświeżyć,
Każe wierzyć w cud-zbawienie...
Tamta dola taka sroga;
Groźny upiór, mara blada.
W tobie światło — droga, droga!
W tobie szczęście — Ada, Ada!
Tobie będę śpiewał piosnki:
Piosnki słodkie, piosnki śpiewne
I tak świeże, jak pierwiosnki,
Jak westchnienie takie rzewne...
Ale smutne już być muszą,
Smutne, tęskne — trudna rada..
I tak mi są drugą duszą,
A ty wszystkiem — Ada! Ada!..

RYBACKA WIEŚ.

Tak pusto dziś w rybackiej wiosce:
Wybrzeża zaległ biedny lud
I patrzy w smutku, w żalu, w trosce
Na gniew posępnych, morskich wód.
Schylają starce siwe głowy,
Biadają dzieci, płaczą wdowy.

Straszliwy w nocy orkan szalał,
Z potęgą ślepą i zagładną;
Potopem wody gniótł, obalał,
Łodzie i ludzi rzucał na dno.
Starce — sieroty chylą głowy
Biadają dzieci, płaczą wdowy.

Teraz ogromny twór niebieski
Wyrzuca z wzgardą martwe łupy:
Złamane wiosła, maszty, deski,
To znów obrzękłe sine trupy —
Matki sieroce chylą głowy,
Biadają dzieci, płaczą wdowy.

Jak strzała mewa biała leci,
A za nią lecą smutne oczy,
Których już szczęście nie rozświeci,
Z których żal wszystkie łzy wytoczy —
Patrzą za mewą, mewą białą,
Jakby z nią szczęście uciekało.

A biała mewa coraz dalej
Leci, maleje, ginie gdzieś...
Jak szept westchnienie mknie po fali,
Przy trupach klęczy smutna wieś —
Starce rwą siwe włosy z głowy,
Biadają dzieci, płaczą wdowy.

TŁUMACZENIA.

Lenau.

OBRAZKI WIECZORNE.

1.

Spokojny wieczór zapadł na niziny;
Naturę nakształt mięciuchnej tkaniny
Okrył zmierzch. Drzemiąc, błogo się uśmiecha
Wielka, a cicha.

Leży, jak dziecię w objęciu ojcowskiem;
On się z miłością ku niej chyli, boskiem
Spogląda okiem i oddech gorący
Szle ku tej spiącej.

2.

Mali śpiewacy kołyszą się w lesie
Na tej gałęzi, która ich uniesie
Ku nowym lotom, skoro stare prześnią —
Ku nowym pieśniom.

Zapada słońce; więc podnoszą głowy
Olbrzymy leśne w świat jeszcze różowy,
By skroń ustroić w ostatnie, tam w górze,
Wieczoru róże.

Polany milczą. Bydło wśród tej głuszy
Zaledwo czasem dzwonkami poruszy
I tylko czasem skubnie ząb wybredny
Po trawie jednej.

W stronę, gdzie słońce ostatnie zapada,
Patrzy pastuszek, lecz wnet mu wypada
Z rąk flet i laska; i składając dłonie
W modlitwie tonie.

PRZY KOŁYSCE.

Ukołysz lekko, o śnie, hoże dziecię,
Co pod dotknięciem twej gazy wytwornej,
Tak się uśmiecha, jak różane kwiecie
W woni wieczornej.

Ukołysz słodko; a potem, gdy zaśnie,
Poważnej siostrze podaj je pocichu —
Śmierci, pod której gęstą gazą gaśnie
Promyk uśmiechu.

Bo czeka Troska i Ból, mary bratnie,
Czy się dzieciństwa brama nie zamyka,
Gdy Pokój, dając całunki ostatnie,
Na zawsze znika...

PRZY MARACH UKOCHANEJ.

Blada i niema bez słowa, bez jęku
Leżysz na marach czarnych rozciągniona,
Bo przyszedł zgon, przycisnął cię do łona
Dla twego wdzięku.

Raz, gdy wietrzyki drgały niestatecznie
Wieczór przy wodzie siedliśmy szemrzącej
I jam rzekł tobie z głębi duszy drżącej:
— Kocham cię wiecznie! —

Ale ty w myślach swych tonąc nadziemnych,
Ku falom zwracasz twarz cudnej piękności,
Jakby porwana od szeptania ciemnych
Głosów przyszłości...

A gdy tak z tobą rozmawiały losy,
Pytałem: — Słyszysz mojej duszy głosy? —
Skinęłaś wtedy, lecz mnie się zdawało,
Że to za mało.

Teraz z mych oczu gorące łzy cieką
I uderzają o twe czoło chłodne,
Zkąd wszystkie myśli miłości, daleko
Poszły swobodne.

I mój złamany głos woła za tobą:
— Kocham cię wiecznie! — Szczęściem by mi było,
Gdyby się czoło twe nad mą żałobą
Teraz schyliło...

TĘSKNOTA ZA ZAPOMNIENIEM.

Leto! niech fala twa skały pokruszy
I z kraju cieniów przypędzi strumienie
Ku mnie, bym dla ran mojej trwożnej duszy
Pił uzdrowienie.

Nadchodzi wiosna. Swych czarów podnietą
Chce i me serce unieść, lecz to wcale
Nie bije ku niej, jak dawniej. O Leto,
Przyspiesz swe fale!

NOC ZIMOWA.

1.

Od zimna skostniało powietrze,
Śnieg trzeszczy pod mymi krokami,
Z ust para mi bucha kłębami,
Lecz dalej, wciąż dalej w tym wietrze!

Tu milczą poważnie obszary;
Księżyca blask pada na jodły,
Co tęskne ku śmierci szląc modły,
Ku ziemi schylają konary.

O mrozie! zmróź serca otchłanie,
Niech żarem szaleństwa nie dyszy,
Niech będzie w niem tyle choć ciszy,
Jak tutaj na nocnej polanie.

2.

Tam zawył wilk w lesie; jak dziecię
Swą matkę przebudza, gdy krzyczy,
Tak płoszy noc ze snu to wycie
I krwawej chce od niej zdobyczy.

Wtem z szumem nad lodem i śniegiem
Wiatr począł szalone zatargi,
Jak gdyby się zmęczyć chciał biegiem —
O przebudź się serce do skargi!

Niech wszystkie twe trupy ożyją,
I wszystkich twych mąk tłum sierocy!
Niech idą z burzami i wyją,
Z srogiemi burzami z północy!

Ludwik Uhland.

UROCZE DNI.

Lubię, ach lubię dzionek hoży,
Zbudzonej wiosny pierwszy brzask,
Gdy błękit nieba się otworzy,
Na ziemię ciepło śląc i blask.
Dolina jeszcze lodem ścięta,
Lecz się już złocą szczyty gór,
Po polach chodzą znów dziewczęta,
Igra wesołych chłopców chór.

Stoję na górze i oczyma
Łzawemi patrzę w dal, hen! hen!
Pierś mi się cichą falą wzdyma;
To nie pragnienie, tylko sen —
Jestem jak dziecko, co szczęśliwe
Natury się zachwyca grą
I w jej uczucia ciche, tkliwe
Osnuwa całą duszę swą.

Lubię te dnie, gdy z ich promieniem
Co na spokojnych niwach lśni,
Starce żegnają się westchnieniem —
Natura wtedy święto czci.
Nie błyszczy kwiecia już przepychem,
Wszystkie jej siły teraz spią,
W osamotnieniu leży cichem
I w ciemną głąb spogląda swą.

Dusza we wzniosłym wpierw nastroju
Przestaje teraz górnych mknień,
Uczy się braku i spokoju,
Wspomnieniem ściga przeszły cień.
Dobrze mi, gdy się ciszy tyle
Rozścieli tęsknie u mych stóp;
Tak mi, jak gdybym miał za chwilę
Zejść w swój spokojny, ciasny grób...

MÓJ ŚPIEW.

O nie zawsze byłem taki smutny
I nie zawsze lutnię kryła pleśń!
Miałem chwile radości rozrzutnej,
Szło mi życie, jak rozkoszna pieśń.
Z nią w słodyczy żyłem nieustannej,
Same kwiaty kładł mi u stóp rok
I co sen mi przyrzekał poranny,
Zawsze wiernie spełniał nocny mrok.

Ach! mogłyby o rozkoszy mojej
Świadczyć niebo i potoków toń
I ów gaik, co się kwieciem stroi,
Ogród, łąka i przejrzysta błoń.
Te widziały te dnie niepowrotne,
Te patrzyły na nie ze mną wraz;
Teraz stoją smutne i samotne:
I ich piękność zniszczył srogi czas!

Lecz ty o tem wiesz, śnie biały, boski!
Ty daleka, a tak blizka mi;

Ty pamiętasz te dziecinne zgłoski,
Ty pamiętasz te szczęśliwe dni...
I nie było tam nieporozumień,
I nie było bladych, ciasnych słów:
Szybko płynął godzin wartki strumień
W wolnej pieśni pięknych. wielkich snów —

Tyś odeszła: świat mi się stał pusty;
Więc od świata w pierś odszedłem swą.
Śpiewam pieśni pobladłemi usty,
Te pociechą, te mi szczęściem są.
Nie zostaje mi nic, prócz narzekać,
Śpiewać przeszłość, co łączyła nas;
I wciąż tęsknić — wciąż tęsknić i czekać
Na miłości nowej złoty czas.

Heine.

I.

Kocham ja kwiatek, lecz nie wiem, gdzie rośnie
To boli tak.
We wszystkie kielichy spoglądam żałośnie,
Lecz serca w nich brak.

Wieczorem z kwiatów woni płyną zdroje,
A słowik gra;
Ja szukam serca, co piękne, jak moje
I tak żywo drga.

Słowiczek gra gdzieś swoje słodkie pieśnie:
Ja rozumiem je —
Nam obu tak ciężko, tak źle i boleśnie,
Boleśnie i źle...

II.

Pewien motyl w róży się zakochał,
Okrąża ją tysiąckrotnie.
Zaś motyla złoty promyk słońca
Okrąża miłośnie i zalotnie.

Jednak w kim się róża zakochała?
To chciałbym wiedzieć chętnie.
Czy w tej gwiaździe wieczornej, co milczy?
Czy w słowiku, co śpiewa namiętnie?

Nie wiem, w kim się róża zakochała —
Ja jednak kocham gorąco:
Różę, motyla i promyk,
Słowika i gwiazdę milczącą.

III.

Rozbrzmiewają wszystkie drzewa
I z gniazd wszystkich płyną pieśni;
Jednak któż jest kapelmistrzem
W zielonej orkiestrze leśnej?

Czy nim jest ta siwa czapla,
Co znacząco ciągle kiwa?

Czy ten pedant, który ciągle
»Ku-ku« w takcie się odzywa?

Czy ów bocian, co z poważną
Miną, jakby kierownika,
Wyciągniętą stuka nogą,
Kiedy wszędzie gra muzyka?

Nie! To w mojem własnem sercu
Ten kapelmistrz, a nie w lesie —
I czuję, jak takt wybija
I myślę, on Amor zwie się...

IV.

»Na początku był słowik na świecie —
»Cükuit, cükuit« wyszło mu z gardziołka.
I wnet wszędzie kiełkowało kwiecie,
Kwiecie trawki, jabłoni, fiołka.

Ugryzł się w pierś; strugi krwi obfite
Wytrysnęły, a z krwi tej na wiosnę
Zeszło drzewo różami okryte —
Temu śpiewa swe żary miłosne.

Wszystkie ptaki w tej leśnej gęstwinie
Trzyma w zgodzie owej rany krew,
Toż wnet cały las doszczętnie zginie,
Skoro przebrzmi ten o róży śpiew.«

Tak przemawia do swego wróbelka
Stary wróbel raz w gnieździe dębowem,
A wróblica przytakując ćwierka,
Siedząc na swem miejscu honorowem.

Ona wzorem jest domowej cnoty;
Rodzi dzielnie, nigdy się nie dąsa.
Stary czasem dla braku roboty
Dzieciom wiary naukę rozstrząsa.

V.

Chodzę między kwiatami
I kwitnę sam już z nimi;
Chodzę, jak gdyby we śnie
Krokami niepewnymi.

Trzymaj mnie mocno luba!
Bo padnę ci za chwilę
Do stóp, miłością pijany,
...A tutaj ludzi tyle —

VI.

Zawarły nasze serca
Wzajemne, święte przymierze;
Leżało jedno na drugiem
W porozumieniu i wierze.

Ach! tylko biedna róża,
Która zdobiła twe łono,
Ta biedna sprzymierzona
Została prawie zgniecioną...

VII.

Błękitnemi oczyma
Patrzysz na mnie tak mile,
Że całkiem rozmarzony
Zaniemiałem na chwilę.

Przy twych błękitnych oczach
Myśl ma ciągle przebywa —
Morze błękitnych myśli
Moje serce zalewa.

VIII.

Kocham cię, więc cię muszę omijać,
Muszę uciekać — ach, przebacz mi!
Jakże twarz smutna musi odbijać
Przy twojej, ktora pięknością lśni.

Kocham cię, pod tym żarem namiętnym
Blednę i chudnę od tylu dni:
Mogłabyś w końcu nazwać mnie wstrętnym,
Więc cię unikam — ach, przebacz mi!...

PIEŚŃ O DZWONIE

Z SZYLLERA.

— Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango.

Mocno z gliny wypalony
Stoi w ziemi formy głaz:
Dziś być musi dzwon skończony;
Nuże bracia, dalej wraz!
Jak gorący zdrój
Pociec musi znój...
Gdy ma mistrz swem dziełem słynąć,
Łaska z góry musi płynąć.

Przy takiem, jak to, ważnem dziele
Poważnych również trzeba słów
I dobrych mów potrzeba wiele,
A praca raźno pójdzie znów.
Tak teraz pilnie oglądajmy,
Co z pod sił ludzkich wyszło mdłych,
A złym człowiekiem pogardzajmy,
Co nie rozważa czynów swych.
To właśnie jest, co człeka zdobi,
Na co mu rozum daje wzór,
Że w głębi serca wprzód sposobi,
Co mu z rąk wyjść ma jako twór.

Weźcie drzewa z świerku pienia,
Lecz to suche musi być,
By ściśnięty żar płomienia
Mógł z tem większą siłą bić!
Lejcie miedzi płyn
Do cynkowych rynn,
Aby spiżu masa płynna
Tam płynęła, gdzie powinna.

Co dłoń dobywa w tajemnicy
Z pomocą ognia z ziemskich łon,
O tem wysoko na wieżycy
W głos wkrótce będzie świadczył dzwon.
I będzie wzruszał dźwięki swymi
Człowiecze ucho w późne dnie,
Będzie się skarżył wraz z smutnymi,
Wraz z pobożnymi modlił się.
Co tu na dole ziemskim synom
Przeznaczeń zmienny niesie los,
To w górze dźwięków wnet krainą
Poniesie dalej dzwonów głos.

Skaczą bańki i ciecz pryska
Pod wewnętrznem wrzeniem par.
Wrzućcie sole do ogniska,
To ostudzi prędko war...
Ciecz się musi szklić
I bez piany być,
Aby metal oczyszczony
Czyste, pełne wydał tony.

Dźwiękiem wesela wita dziecię,
Gdy pierwszy raz podniesie wzrok
I pierwszy w życiu i na świecie
W objęciach snu chce stawić krok:
Przed niem złożone w czasów urnę
Śpią losy jasne, albo chmurne,
A serce matki bez przestanku
Strzeże złotego jego ranku —
Szybko za rokiem leci rok...
W bój życia wpada dzikie chłopię,
Dumnie uszedłszy dziewcząt łzom,
Przez świat dla siebie drogę kopie
I wraca obcy w ojców dom;
I tutaj widzi jaśniejącą,
Jak posąg, który z nieba spadł,
Z twarzą rumieńcem róż płonącą,
Dziewicę w pełni młodych lat.
Bezbrzeżna chwyta go tęsknica,
Serce przejmuje słodki czar.
Łzami zroszone kryje lica,
Zkąd dzikich zabaw słyszy gwar.
Zmieszany śledzi błysk jej szaty,
Jej słowa już mu szczęściem są
I najpiękniejsze zbiera kwiaty,
By nimi zdobić miłość swą.
Błoga tęsknoto i nadziejo!
Pierwszej miłości złote dni!
Otwarte nieba wam się śmieją,
Szczęście i rozkosz serce śni —

O, obyś wiecznie w pełnej krasie
Kwitnął miłości młodej czasie!

Ot już brunatnieją ciecze:
Więc tę płytkę wewnątrz włóż,
Gdy się szklistą rdzą oblecze
Czas do lania nadszedł już.
Teraz bracia wraz
Badać dobroć mas!
Gdy stopione kruszców części
Znak to, że się nam poszczęści.

Bo, gdzie powaga z łagodnością
I siła łączy się z tkliwością,
Tam akord zgodny wyda dzwięk.
Więc, gdy o związek wieczny chodzi
Patrz, czy się serce z sercem zgodzi!
Szału jest chwila, żalu wiek.
W oblubienic wpięte włosy
Świecą wianki mile tak,
Gdy kościelnych dzwonów głosy
Uroczysty dadzą znak.
Lecz, ach! z życia tą koroną
Życia maj się skończyć miał,
Wraz z przepaską i zasłoną
Pęka także piękny szał.

Choć żar uczuć zbladł
Niech miłość zostanie

Wszak choć okwitł kwiat
W owocu jest trwanie;
Wytrwać musi mąż
W ciągłej z życiem wojnie
I z trudem i znojnie
Zasadzać i tworzyć,
Borykać się, korzyć,
Nie ustać wśród drogi,
By los ubiedz wrogi.

Toż płyną mu zewsząd owoce i dary,
Napełnia się spichlerz skarbami bez miary,
Miejsc nowych potrzeba i dom rośnie wciąż.

W domu się krząta
Troskliwa gosposia
Poważnie i skromnie,
Jak przystoi żonie
W rodzinnem jej gronie.
I uczy dziewczęta
I czuwa nad chłopcem
I mądrze wciąż włada,
A rąk nie zakłada.
Gdzie jej oka błysk
Padł... już rośnie zysk.

Napełnia skarbami swe składy pachnące,
To w ręku obraca wrzeciono furczące,
Lub w skrzyni gładzonej układa po brzeg
Wełny zapas lśniący i płótna, jak śnieg.
I łączy z pożytkiem blask i upiększanie
Niezmordowanie.

Weselem błyszczy ojca wzrok,
Gdy, stanąwszy na wyniosłym ganku
Patrzy na szczęście swe co krok:
I widzi stogów sterczące koły,
Napełnione po szczyt stodoły
I spichlerzy wypiętrzone sale,
Rozkołysane łanów fale.
Dumnie się chełpi tam:
Mocno, jak trwałość ziem,
Choćby spadł nieszczęść grom,
Stoi mój dumny dom.
Lecz z przeznaczeń czarną władzą
Związki zawrzeć się nie dadzą.
A nieszczęścia szybki krok.

Ot! już kruszce razem w płynie,
Już do lania nadszedł czas,
Lecz nim masa w formę spłynie,
Wpierw modlitwę zmówmy wraz!
Czop z otworu bierz! —
Boże domu strzeż!
Ciecz spływając do łożyska
Strzela dymem, ogniem błyska.

I w ogniu leży dobry czyn,
Gdy nad nim czuwa ludzki syn;
Cokolwiek czyni i co tworzy
Zawdzięcza owej sile Bożej.
Lecz straszną bywa ta potęga,

Kiedy się z więzów swych rozprzęga,
Gdy wolna w własny wkroczy ślad
I dziko burzy wszelki ład.
Biada! gdy poza granice
Niewstrzymana już wybieży
I przez ludne miast ulice
Rozszalała, pożar szerzy.
Bo żywioł zawiścią nęka
To, co stworzy ludzka ręka.

Z chmury każe
Łaska tkliwa
Spływać dżdżom;
Z chmury także
Się wyrywa
Straszny grom.
Co tam w wieży jęczy tak?
To burzy znak.
Krwawy blask
Skrył niebiosy,
O to nie jest ranku brzask!
Co to za głosy!
Przy domu tym
Kłębi się dym!
Z sykiem ognia słup wytryska,
Przez ulicę leci, błyska
I płomieniem krwawym ciska.
Powietrze, jakby piec wielki
Żarem bucha, trzeszczą belki,
Lecą słupy, okna brzęczą,
Kwilą dzieci, matki jęczą.

Bydło głośno ryczy z trwogi
Wśród pożogi.
Wszystko pełne przerażenia.
Noc się w jasny dzień przemienia,
Utworzonym z rąk łańcuchem,
Szybkim ruchem
Leci wiadro; łukiem bieży
Z beczek wody potok świeży.
Z wyciem wicher pędzi z wieży,
Zlany z ogniem w jeden ton
Poprzez krokwie w dach uderza,
Z dachu wpada do spichlerza
Z sykiem trawiąc suchy plon.
I jak gdyby rozszalała
Chciała nagle ziemski pień
Zniszczyć, stoczyć, aż po rdzeń,
Ku niebiosom się rozlała
I błękit zbladł —
A człowiek padł
U stóp strasznej siły Bożej
I z rozpaczą jej się korzy,
Razem dziwi się i trwoży.

Nad zczerniałą
Kupą zgliszczy
Wicher tylko dziko świszczy.
W pustych oknach z jękiem siada
Duch rozpaczy...
Czasem orszak chmur tułaczy
Z góry spojrzy.

Biedny człowiek
Jeszcze jedno szle spojrzenie
Na zmarniałe swoje mienie
I z niestartą łzą u powiek
Za wędrowny kij uchwyta:
Przyszłość już nadzieją wita.
Choć pracy jego zniknął znak,
Ileż zostało mu słodyczy?
Wzruszony głowy drogich liczy
I oto żadnej mu nie brak!

Ot! już forma wypełniona,
Zanurzmy ją w ziemi chłód!
Lecz, gdy wyjdzie dzwon z jej łona
Czyż nam spłaci znojny trud?
Może spiż nas zdradzić
I formę rozsadzić.
Często, choć nieszczęście czycha,
Nam nadzieja się uśmiecha.

Ciemnemu świętej ziemi łonu
Oddajem ufnie przyszły dzwon,
Powierza rolnik skromny plon,
W nadziei obfitszego plonu
Łaski z niebieskich czeka stron.
Lecz kosztowniejsze jeszcze ziarna
Kładziemy smutni w chłodny grób
Z wiarą, że prochu garstka marna
Zakwitnie znów z pod trumny stóp.

Głucho z tumu
Jęczy dzwon,
Śpiew to smutny
Ludzki zgon.
Płyną ciężko te grobowe dźwięki
Smutnej zwrotki, ostatniej piosenki.

Ach! to była żona wierna,
Ach! to wierna była matka,
Którą czarnych książąt władza
Z objęć męża uprowadza,
Z jej małych dziatek gromadki,
Co jak delikatne kwiatki,
Na jej ciepłem łonie rosły:
Tyle szczęścia z sobą niosły!
Tkliwe związki w cichym raju
Już na wieki zerwał zgon,
Bo ta mieszka w cieniów kraju,
Co dzierżyła matki tron.
Bo już zgasły wierne oczy
I jej troska i jej trud:
Grono sierot wnet otoczy
Macoszego serca chłód.

Teraz, nim się dzwon oziębi,
Może spocząć każdy z was,
Jak ptak wolny w leśnej głębi
Tak swobodnie spędzić czas.
Z błyskiem nocnych zórz
Chłopcy wolni już

Anioł Pański odmówili;
Lecz mistrz nie ma wolnej chwili.

W borze pełni tęsknej troski
Przyspieszają krok wędrowce,
Do ojczystej dążąc wioski.
Becząc ciągną liczne owce;
W ślad za niemi
Pięknych krów i wołów stada.
Wszystko z rykiem
Do znajomych obór wpada.
Pełen zboża
Wjeżdża potem
Wóz z łoskotem.

W snopach leży
Barwny, świeży
Wieniec z niw,
Z młodych żeńców grona bieży
W tan kto żyw.

Wnet ucisza się w ulicy.
Razem z ognisk jasnym blaskiem
Gromadzą się domownicy —
Brama w zamek wpada z trzaskiem.

Czarne cienie
Skryły ziemię,
Lecz spokojnie rolnik drzemie
W nocny mrok,

Co zbrodnicze budzi plemię —
Bo go strzeże prawa czujny wzrok.

Wzniosła władza, ta bogata
Córa niebios, która splata
Równe z równem tak radośnie,
Na której miast ogrom rośnie,
Co przez pola i wśród puszczy
Niosła ludzkości dzikiej tłuszczy,
Wstępowała pod zagrody
Ucząc wiary, pracy, zgody
I wszczepiała święty zaród:
Czcić kraj ojców, kochać naród!

Widać ruchy rąk tysiąca,
Gdzie pracuje pilny lud,
Sił dobywa pierś płonąca:
Wspólna praca, jeden trud!
Z mistrzem wraz się czeladź spieszy
Pod opieką wolnych praw;
Każdy miejscem swem się cieszy,
Drwiąc z próżniaków i ich spraw.
Ozdobą obywatela
Praca, w pracy źródło łask;
Królom godność czci udziela,
Nam dłoń pilna daje blask.

Cny pokoju!
Słodka zgodo!

Przebywajcie
Długo, zawsze w mieście tem!
Oby nigdy dzień nie nadszedł,
W którym srogich walk swawola
Spustoszy te ciche pola.
Kiedy niebo,
Co zórz nocnych i wieczorów
Chwyta czar,
Odpłomieni wiejskich dworów,
Miast palonych straszny żar!

Teraz niech się w proch rozleci
Ściskający spiże wzór,
W sercu, w oku radość wznieci,
Gdy nam piękny wyda twór.
Niech swój ciężki lot
W płaszcz skieruje młot!
Bo nim dzwon się wyjść pokusi,
Formę najpierw strzaskać musi.

W stosownym czasie mistrz wyrokiem
Mądrym, rozbija formę sam.
Biada! gdyż spiż ogni potokiem
Sam się uwalnia z władzy tam.
Z siłą piorunu ślepą, wściekłą
Rozsadza wnet pęknięty dom,
Jakby rozwarło paszczę piekło,
Miotając w koło zguby grom.
Zwierzęcych sił bezmyślna władza
Lepszego losu nie sprowadza,

Gdy sobie naród wolność skradł,
Wnet dobrobytu znika ślad.

Biada! gdy cicho zgromadzany
Materyał palny gotów już
I lud targając swe kajdany,
W własnej obronie chwyta nóż.
Kiedy bunt szarpnie sznury dzwonów,
Słychać w ich biciu wycie hord
I miast pokoju świętych tonów
Hasło straszliwe: Krew i mord!
»Wolność i równość«! zewsząd płynie,
Cichy mieszczanin chwyta broń,
Ulice pełne i świątynie
I band oprawców pełna błoń
Kobiety stają się hyenami,
Igrają z grozą, z śmiechem mrą
I jeszcze drżące panter kłami
Nieprzyjaciela serce drą.
Nic nie jest świętem, rozwiązuje
Się wszelki związek, wszelki wstyd
I dobre złemu ustępuje:
Występek z zbrodnią dzierżą szczyt.
Choć niebezpiecznym jest lew w złości,
Zgubne tygrysa ostre kły,
Lecz najstraszniejszą z okropnośc
Jest w dzikim szale człowiek zły.
Biada tym! którze cienie chwalą,
I chcą je ubrać w blaski gwiazd,

Bo te nie świecą, tylko palą,
Proch zostawiają z wsi i miast.

Bóg zgotował nam nagrodę:
Wśród gwiazdzistych, jasnych lśnień,
Jak z łuszczyny ziarno młode
Metalowy wyszedł rdzeń.
Od brzegu po strop
Świateł wykwitł snop.
A na tarczy herb się błyszczy,
Doświadczonych chwaląc mistrzy.

A teraz tu
Utwórzcie bracia razem koło:
Musimy ochrzcić dzwon wesoło,
Imię »Concordia« damy mu.
Niech głosi zgodę, cnotę, obowiązek
I stworzy w gminie serc i duchów związek

I niechaj nadal głosi to,
Do czego mistrz przeznaczył go.
W górze nad niskiem, ziemskiem życiem
Wejdzie w błękitny nieba szmat,
Piorunom zawtóruje biciem
W świetlany gwiazd spoglądnie świat.
I będzie nutą nieb proroczą,
Jak ów systemów jasny tok,
Co chwaląc Stwórcę w wieczność kroczą,
I uwieńczony wiodą rok.

16

Tylko czemś wiecznem i poważnem
Wymowny kruszec niechaj brzmi
I ciągle skrzydłem swem odważnem
Dotyka w locie szybkich dni.
Niechaj przebudzi los z niemoty —
Choć sam bez serca i bez łez,
Niech towarzyszą jego loty
Życiu ziemskiemu aż po kres.
A jak bez śladu dźwięk przechodzi,
Co ze spiżowych wyszedł łon,
Tak wszystko mara, wszystko zwodzi
Wszystko, co ziemskie, kończy zgon.

Teraz mocno ciągcie sznury!
Niech dzwon silna wzniesie dłoń
W państwo dźwięków, tam do góry
W lazurowych sferę błoń.
Razem! razem! nuż!...
Drgnął, zawisnął już —
Dźwiękiem jego pierś drga młoda;
Pokój miastu, pokój, zgoda!

KONIEC.

TREŚĆ.